

"Tyś opiekunem sieroty!"

Ps 10, 14

Ilona Korompay

Wspomnienia spisała i opracowała  
Barbara Agnes Pietrzak OV

**Warszawa 2017**

Wydanie II poprawione i uzupełnione

# Autorem tej historii jest Boża Opatrzność...

## SPIS TREŚCI

WSTĘP	3
RODZINA KOROMPAYÓW	4
CZĘŚĆ I: DZIEJE RODZINY	6
ROZDZIAŁ I: DZIECIĘCE LATA	7
ROZDZIAŁ II: MÓJ TATA – EMANUEL ALADAR	9
ROZDZIAŁ III: LATA WOJNY 1939–1945	13
ROZDZIAŁ IV: OKRUCHY WOJENNE	24
Punktualność niemiecka	25
Bochenek chleba	25
Węgiel z Pruszkowa	27
Inkasent	27
Kocioł	28
Na stacji Boża Wola	28
„Puść, to nasza!”	29
Dziecko z getta	30
Rewizja	31
„To jest Ciało Moje...”	31
Słyszałam głosy	31
Grypsy i paczki	32
Polowanie	32
Halina Wicińska	33
Mama mnie ostrzegła	34
Sąsiad Kamil Baczyński	34
ROZDZIAŁ V: POWSTANIE WARSZAWSKIE 1944	35
Krowa	35
Obrazek Serca Pana Jezusa	36
„Muszę na was krzyczeć”	37
Ocalona przez Maryję	38
Nocnik i zaświadczenie	39
Mięso armatnie	41
Jutrzenka wolności	41
Wreszcie wolność!	41

<b>CZĘŚĆ II: DALSZY LOSY</b>	<b>43</b>
ROZDZIAŁ I: I CO DALEJ?	43
Życie w Instytucie	44
ROZDZIAŁ II: MOJE PRZYJAŹNIE	48
Miecia i biblioteki	48
Biblioteka Powszechna	52
Biblioteka Politechniki Szczecińskiej	56
Prof. Juliusz Grabowiecki – nauczyciel matematyki	58
Florentyna Danuta Krzeszewska	59
Wanda Zaborowska	63
ROZDZIAŁ III: ODWIEDZINY OJCZYZNY MEGO OJCA	64
Odkrywanie rodzinnych korzeni	65
<b>CZĘŚĆ III: WOTUM WDZIĘCZNOŚCI MOJEGO OJCA</b>	<b>67</b>
<b>CZĘŚĆ IV: KONSEKRACJA DZIEWIC</b>	<b>69</b>
<b>ZAKOŃCZENIE</b>	<b>70</b>
Pogrzeb Ilony Korompay	71
Bibliografia	72

Projekt okładki i zdjęcie: Barbara Pietrzak OV

Redakcja: Joanna Skupieńska

Redakcja techniczna: Małgorzata Tarnachowicz OV

Pragnę przeprosić Pana Wiesława Budzyńskiego, autora książek: *Na straconej placówce* i *Dom Baczyńskiego*, z którego zaczerpnęliśmy z Ilonką treści dotyczące rodziny Ilonki, a nie zazaczyłam tego w pierwszym wydaniu.

Pierwotna wersja komputerowa książeczki *Bóg opiekunem sieroty* powstała w roku 2002, kiedy Ilonka poprosiła mnie o pomoc w napisaniu i wydrukowaniu na komputerze wspomnień i historii jej rodziny. Nie spodziewałam się, że jednak trafi do druku, a to już wyłącznie zasługa Ilonki... Tak bardzo pragnęła, aby nawet po jej śmierci pamiętano o losach rodziny Korompayów, która oddała życie w obronie Ojczyzny.

Brak doświadczenia i nieświadomość, oraz fakt, że to właśnie Ilonka dyktowała mi te fragmenty spowodowały, że nie zamieściłam cudzysłowu. Przepraszam.

Dziękuję śp. księdzu prof. Andrzejowi Santorskiemu, za ogromny wkład w pierwszą redakcję tekstu, i przepraszam za pominięcie tego faktu w pierwszym wydaniu

Barbara Pietrzak OV



*Podziwiam to przedziwne działanie Boga  
i z wdzięcznością wspominam,  
bo teraz, z perspektywy czasu widzę,  
jak cudowna jest ta Boża Ojcowska opieka,  
której niejednokrotnie wtedy  
nie dostrzegałam w pełni.*

*Można by to wszystko nazwać zwykłymi zbiegami  
okoliczności, ale jestem głęboko przekonana,  
że „proste zbiegi okoliczności  
nie istnieją w planach Bożej Opatrzności”  
– jak powiedział Ojciec Święty*

*Jan Paweł II w Fatimie,  
kiedy dziękował Matce Najświętszej  
za ocalenie życia po zamachu.*

*Hona Kotompały*



## RODZINA KOROMPAYÓW

---



*Aladar Emanuel*  
*Korompay*  
(\* 1890 † 1940)



*Mieczysława*  
*z domu Grabasówna*  
(\* 1898 † 29.01.1944)



*Ilona*  
\* 4.04.1918  
† 4.09.2010



*Marta*  
\* 19.12.1919  
† 26.09.1939



*Elżbieta*  
\* 8.07.1921  
† 12/13.01.1943

Rodzicami Marty, Elżbiety i moimi byli: Emanuel Aladar i Mieczysława z Grabasów Korompayowie.



Nasz Tata, Węgier, urodził się 23 marca 1890 r. w Budapeszcie, w katolickiej, zamożnej, wielodzietnej rodzinie aptekarzy. Nazwisko Korompay znane od siedmiuset lat. Korompayowie „byli bardzo bogaci. Babka jeździła po świecie salonką. Ojciec omal nie urodził się we Włoszech, właśnie w trakcie takiej podróży (stąd miał takie niewęgierskie imię Emanuel). Był najmłodszy, siódme dziecko w rodzinie, jak

i moja Mama”<sup>1</sup>.

Tata od dziecka marzył o tym, aby zostać aktorem dramatycznym. Niestety, rodzina postanowiła inaczej. Na życzenie rodziny ukończył jednak studia humanistyczne. Rozpoczął pracę w gimnazjum w Leva (dziś Levocza), wykładając hungarystkę, grekę i łacinę...

Kiedy w 1914 r. wybuchła I wojna światowa, zmobilizowano go do wojska austriacko-węgierskiego i skierowano do Przemyśla (ówczesna Galicja). Tam w roku 1916 poznał Polkę, pannę Mieczysławę Grabas, która była tłumaczką języka niemieckiego w sądach polowych. Wkrótce zawarł z nią związek małżeński. „- Boże, Polka wychodzi za Niemca! - dziwiono się w okolicy, bo mówił po niemiecku”<sup>2</sup>.

W roku 1918 Korompayowie wraz z córeczką Iloną wyjeżdżają do Budapesztu. Tu spotyka ich głębokie rozczarowanie. Rodzeństwo Aladara nie uznaje jego małżeństwa, ponieważ rodzina miała, co do niego inne plany. „Chciała go bogato ożenić i miała pretensje, że poślubił Polkę. Nie dostał, więc ani grosza”<sup>3</sup>. Uzgodniono, że ewentualnie przyjmą do rodziny Tatę i mnie, Ilonkę, ale Mamy stanowczo nie. Wobec takiej postawy rodziny Tata zdecydował się opuścić swoją węgierską ojczyznę i rodzinę oraz zrezygnować z należnego mu dużego rodzinnego spadku - i na stałe przenieść się do Polski.

We wsi Stubno koło Przemyśla rodzina Mamy miała spore gospodarstwo i tu Korompayowie początkowo zamieszkali; potem przenieśli się do Przemyśla.

---

<sup>1</sup> W. Budzyński, Na straconej placówce, s. 99

<sup>2</sup> Ibidem

<sup>3</sup> Por. W. Budzyński, Na straconej..., s. 99

## ROZDZIAŁ I: DZIECIĘCE LATA

---

Ze wzruszeniem wspominam dziecinne lata spędzone w Przemyślu (między 1923 a 1930 r.) i żywo staje mi przed oczyma nasz ksiądz proboszcz, który obok rodziców był trzecią najważniejszą osobą w moim życiu. Nasza parafia znajdowała się na przedmieściu Przemyśla, na tak zwanym Błoniu. Z małym kościołem pod wezwaniem Matki Bożej Nieustającej Pomocy

Ks. Adam Leja przez wszystkie te lata pracował sam. Był tu ogromnie lubiany przez dzieci i młodzież. Dorośli chętnie korzystali z jego mądrych rad w swoich sprawach życiowych. Nam, dzieciom, pozwalał bawić się w swoim pięknym, dużym ogrodzie, a kiedy skończył modlitwy brewiarzowe, opowiadał nam o życiu świętych. Moja uwaga skupiła się na św. Stanisławie Kostce, którego duży obraz był w bocznym ołtarzu naszego kościoła. Przedstawiał on tego świętego w chwili, gdy anioł z nieba przyniósł mu Komunię. Lubiłam długo patrzeć na ten obraz, ponieważ czekałam na moją I Komunię świętą. Cieszyłam się, że otrzymam Pana Jezusa z rąk naszego kochanego księdza proboszcza. Przy każdej okazji starałam się okazać mu swój szacunek i według dawnego zwyczaju całowałam go w rękę.



Zanim poszłam do szkoły, chodziłam do ochronki prowadzonej przez siostry zakonne – sercanki. Tu często przychodził ks. proboszcz, bo żywo interesował się nie tylko przygotowaniem uroczystości, jak z okazji św. Mikołaja, jasełek, ale i zwykłymi naszymi zajęciami.

Prawdopodobnie z jego inicjatywy zrobiliśmy na Boże Narodzenie kwiatki z ryżu. Przez całą zimę ołtarz w kościele był nimi bogato ustrojony. Pięknie odbijała się ich biel na tle ciemnego ołtarza. Z radością lubiłam się temu przyglądać. W maju i czerwcu nasz kościół był przepelniony, a cała parafia ożywiona. Pomagałam z innymi w ozdabianiu ołtarzy na Boże Ciało. Chłopcy przywozili na rowerach naręcza kwiatów z pobliskich łąk, a dziewczynki przygotowywały koszyczki do sypania płatków kwiatów w czasie procesji. Była orkiestra wojskowa, wielkie sztandary, ale nade wszystko najważniejszy był Pan Jezus, którego niósł nasz ksiądz proboszcz, a ja starałam się swoimi kwiatkami dotknąć Zbawiciela i byłam szczęśliwa, gdy mi się to udało.

Zauważyłam, że kiedy ksiądz proboszcz mówił o Matce Bożej, to bardzo się wzruszał – aż do łez. I wszyscy wiedzieli, że tak mocno kocha Maryję, więc to ludzi zachęcało do większej gorliwości.

Obchodzono uroczystości nie tylko święta kościelne, ale i rocznice narodowe, a zwłaszcza rocznice powstań. Pamiętam, jak tłumnie chodziliśmy wieczorem ze światłami wokół kościoła i śpiewaliśmy: „Bartoszu, Bartoszu, oj, nie traćwa nadziei! Bóg pobłogosławi, Ojczyznę wybawi!”. Była to rocznica insurekcji kościuszkowskiej. Wielką frekwencją cieszyły się zabawy dla dorosłych, które urządzone były w ogrodzie księdza proboszcza. On przez cały czas czuwał nad ich atmosferą, a kiedy zauważył coś nieodpowiedniego, skutecznie przeciwdziałał.

Ks. Adam Leja był katechetą w naszej sześcioklasowej szkole powszechnej. Różne były dzieci: polskie, ruskie, żydowskie, ale zgoda panowała między nimi i gdy nie przyszedł pop lub rabin, to te dzieci zostawały na religii z naszym księdzem. Święta obchodziliśmy w różnych terminach i odwiedzaliśmy się wtedy wzajemnie. Bywałam często w cerkwi, bo podobały mi się śpiewy prawosławne. Do bóżnicy nie wpuszczano dziewczynek, ale widziałam, jak żydzi – ojcowie rodzin – modlili się w swoich domach w modlitewnym stroju przy zapalonym świeczniku. Inni z rodziny siedzieli, milcząc. Wiedziałam, że mamy jednego Boga Ojca, ale różnie Go czcimy. Potwierdzeniem tego było też motto na okładce mojej książeczki do Pierwszej Komunii Świętej: „Abyśmy wszyscy byli jedno”.

Wiedzieliśmy, że mieliśmy bardzo dobrego księdza biskupa Józefa Sebastiana Pelczara, którego wierni różnych wyznań ogromnie cenili i poważali. Pamiętam (miałam wtedy 6 lat), gdy był jego pogrzeb w 1924 r., wszyscy mieszkańcy z wielkim żalem to przeżywali. Trumnę jego niesiono z kościoła garnizonowego do katedry, a w kondukcje pogrzebowym szli księża, popi, rabini w uroczystych szatach.

Biskup Józef Pelczar został ogłoszony świętym, kanonizowany 18 maja 2003 r. Z perspektywy czasu widzę jasno, że jego postać wywierała wielki wpływ na podległych mu kapłanów. Jednym z nich był mój czcigodny ksiądz proboszcz Adam Leja.

Kiedyś nasz ksiądz proboszcz dowiedział się, że w pobliskim Chyrowie odbędzie się wielki festyn, a dochód przeznaczony będzie na wybudowanie szpitala dla chorych – trędowatych na wyspie Madagaskar, którymi opiekuje się o. Józef Beyzym – jezuita z Chyrowa (obecnie też już beatyfikowany). Gdy ksiądz proboszcz o tym się dowiedział, natychmiast zorganizował kilka pociągów, aby nieomal cały Przemyśl mógł tam pojechać. Jechały więc do Chyrowa całe rodziny, nawet z małymi dziećmi. Ten festyn był dla mnie niezapomnianym przeżyciem. Tyle ludzi, wiele ciekawych atrakcji, piękne iluminacje, ale ponad wszystko utkwiał mi w pamięci wyświetlany film o ojcu Beyzymie. Dowiedziałam się, jak bardzo kocha on tych chorych! Odtąd ta myśl nie dawała mi spokoju, więc zastanawiałam się: co ja mogę zrobić dla niego? Już wiem! Będę teraz urządzać takie małe festyny, loterie fantowe, przedstawienia i zbierane pieniądze damy naszemu ks. proboszczowi, a on je tam pośle. Od tej pory najmilszym moim zajęciem były prace związane z realizacją tego planu, aby choć w malutkiej części dołączyć się do budowy leprozorium. To obce słowo stało mi się bliskie. Postanowiłam, że gdy będę duża, też tam pojedę i będę o. Beyzymowi pomagać. W pragnieniu tym umocniłam się, gdy ks. proboszcz zachęcił mnie do przeczytania życiorysu św. Teresy od Dzieciątka Jezus. Książkę tę kilka razy przeczytałam, pokochałam tę świętą i pragnęłam, aby przy sakramencie bierzmowania ona była moją patronką. I tak się stało po kilku latach.

Ksiądz proboszcz był częstym gościem w naszym domu. Patrzyłam na niego jak na osobę wyjątkową, prawie nieziemską, bo przecież był zawsze tak blisko Pana Boga, więc i nieba, i tego niewidzialnego świata. Pilnie przysłuchiwałam się rozmowom, a częste jego powoływanie się na działanie Opatrzności Bożej utwierdziło mnie na całe życie w wielkiej ufności w ojcowską dobroć Pana Boga. Było to dla mnie ratunkiem, gdy podczas wojny straciłam najbliższą rodzinę i niejednokrotnie byłam w wyjątkowo niebezpiecznych sytuacjach.

Często w modlitwie prosiłam moich śp. rodziców i śp. ks. Adama Leję o opiekę i pomoc w ciężkich sprawach i miałam wyraźne dowody, że ciągle nade mną czuwają. Za



wszystko jestem im bardzo wdzięczna i podziwiam to, że pragnienia z lat dziecięcych są realizowane przez Opatrzność Bożą za przyczyną Matki Najświętszej Nieustającej Pomocy.

Gdy skończyła się wojna, przygotowałam się do pracy katechetycznej i przeniosłam się na Ziemię Odzyskane, aby służyć bliźnim. Nie miałam żadnych możliwości, aby wyjechać na Madagaskar. Pocieszałam się tym, że i te ziemie są terenem misyjnym. A to upragnione leprozorium? Różne przeżycia udowodniły mi, że wszyscy jesteśmy obarczeni ranami na skutek grzechów i doświadczeń... Tylko Boski Lekarz może je uleczyć. On posługuje się nami, gdy w Jego imię chcemy służyć z miłością... A leprozorium jest tuż...

Postać księdza Adama Lei, gorliwego kapłana, towarzyszy mi przez życie, ponieważ nadal pełni on rolę mego wychowawcy.

## ROZDZIAŁ II: MÓJ TATA - EMANUEL ALADAR

---



Kiedy w roku 1919 powstało państwo polskie, mój Ojciec, Węgier urodzony w Budapeszcie w 1890 r. przyjął obywatelstwo polskie i jako ochotnik wstąpił do armii (w randze porucznika). Pokochał serdecznie Polskę – swą ojczyznę z wyboru – i był jej wierny aż do oddania za nią swego życia.

Korespondencja z rodziną Ojca była bardzo skąpa, dopiero w latach dwudziestych przysłano mu fotografie jego śp. rodziców. Stało się to okazją do wspomnień.

Przez wszystkie lata tylko Ojciec pracował na utrzymanie rodziny. Mama bardzo chorowała na płuca i nigdy nie pracowała zawodowo. Tata mimo wielu trudności, jakich los im nie szczędził, przez całe życie ogromnie kochał Mamę. Podziwiałam cierpliwość Ojca i wytrzymałość w ciężkich sytuacjach w domu i w pracy. Nie skarżył się nigdy, czasem tylko wyrывało mu się głębokie westchnienie i słowa: *Mater Dei! Mater Dei!* Wtedy ja i moje dwie młodsze siostry, Marta i Elżbieta, starałyśmy się być cicho, bo czułyśmy, że chwila jest bardzo trudna.

Mieszkaliśmy na peryferiach miasta, w dzielnicy Bakończyce (Błonie), blisko kościoła i szkoły. Mieszkanie było dwupokojowe z kuchnią na pierwszym piętrze; nie miało kanalizacji ani elektryczności. Wielką ulgą dla Mamy w pracach domowych, była pomoc ordynansa, który przynosił wodę z odległej studni. Nam, dzieciom, też przydzielono drobne obowiązki: utrzymanie porządku w ubraniach, zabawkach, w wydzielonej grządce w ogródku... Ja, jako najstarsza, robiłam drobne zakupy w pobliskich sklepikach i przynosiłam mleko. Właśnie z tym mlekiem pamiętam jedno zdarzenie. Wcześniej rano, przed pójściem do szkoły (I klasa), szłam po mleko za miasto. Na tej trasie spotykałam najczęściej stadko gęsi; obawiałam się wtedy gąsiora, który biegł za mną i syczał. Tego dnia właśnie go spotkałam. Napadł na mnie, a ja, uciekając, potknęłam się i bańka z mlekiem rozlała się na drodze (całe dwa litry!). W domu Mama bardzo się na mnie gniewała, a ja

byłam niepokieszona. Po południu, gdy Tata wrócił z pracy (a chodził zawsze tą drogą do pracy), przywołał mnie, serdecznie przytulił i powiedział: „Kotkom bardzo smakowało mleko i bardzo ci dziękują”. Kamień spadł mi z serca i wróciła radość! Tata mnie zrozumiał i pocieszył. Byłam mu za to bardzo wdzięczna.



Zakopane 1924

Ojciec pracował w VI jednostce wojskowej, w zaopatrzeniu. Była to bardzo odpowiedzialna praca, a on, jako człowiek z miasta, nie

orientował się w wielu sprawach, zasięgał wtedy rady u Mamy. Na przykład pytał, jak poznać, czy bydło, które mają zakupić dla wojska, jest zdrowe. Czy zboże jest w dobrym stanie? Jak przyjmować wagony pełne ubrań, butów i podobnych rzeczy? Jak zorganizować w mieście piekarnię dla całego wojska?...

Ojciec był bardzo rzetelny i nie zgadzał się na żadne nieuczciwe propozycje dostawców. Umiał sobie dobrać fachowców i oddanych mu ludzi, na przykład pana sierżanta Tomczyka, który był jego prawą ręką. Wszyscy cenili Ojca za jego skromność i życzliwość dla ludzi.

Początkowo Ojciec porozumiewał się w języku niemieckim. Część naszych znajomych również posługiwała się tym językiem, ponieważ była to dawna Galicja. Z nami, dziećmi – na wyraźne życzenie Mamy – rozmawiał tylko po polsku, chociaż szło mu to z trudem. W późniejszych latach, w czasie wakacji, trochę uczył nas węgierskiego. Ojciec był bardzo pracowity i w domu uczył się stale języka polskiego. Kiedy przerobiłam już elementarz, Ojciec podczas wakacji chodził ze mną na spacer nad rzekę Wiar i tam uczyłam go dobrej wymowy, przerabiając kolejno strony całego elementarza. Chętnie korzystał z moich poprawek. Te chwile nas złączyły w sposób dla mnie zupełnie niewyobrażalny.

Rodzice dbali o nasze wychowanie i wykształcenie. Wspólnie odmawialiśmy wieczorną modlitwę przed obrazem Matki Bożej Częstochowskiej. W niedziele i święta chodziliśmy wszyscy do kościoła na Mszę świętą, a potem, o ile była pogoda, szliśmy na dalekie spacer.

„W domu od dziecka otaczała mnie atmosfera głębokiej religijności i także dziwnych zdarzeń. Mówiono, że w naszym domu straszy... Rzeczywiście, wiem, że kiedy byłam bardzo mała, a było to jeszcze, gdy mieszkaliśmy w Przemyślu, w czasie nieobecności Taty ciężko zachorowałam. Mama pobiegła do lekarza; w domu oprócz mnie nie było nikogo. Kiedy wracając, wkładała klucz – drzwi same się otworzyły. Mama omal nie zemdlą, widząc w mieszkaniu, przy moim wózku, obcą osobę. Zauważyła, że wymiotowałam, ale tak, jakby ktoś mnie uniósł i dzięki temu nie zadławiłam się wymiotami – leżałam w głębokim wózku. Lekarz też był tym zaskoczony. W jakiś czas po

tym z Węgier przysły fotografie, a między nimi fotografia mamy mojego Ojca, której moja Mama dotąd nie знаła. Była to postać, którą widziała przy moim wózku”<sup>4</sup>.

W listopadzie odwiedziliśmy groby żołnierzy węgierskich poległych w czasie I wojny światowej. Uroczyste obchodziliśmy święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy, zgodnie z chrześcijańską tradycją.

Śpiew i muzyka były w naszym domu stałym akompaniamentem, bo Ojciec pięknie grał na skrzypcach i na flecie. Na prośbę księdza proboszcza Tata chętnie grał w kościele na organach i skrzypcach. Z kolegami oficerami zorganizował koło kulturalne i był jego duszą. W domu była biblioteczka, w której najbardziej podobały się nam, dzieciom, kolorowe wydanie Pisma Świętego Starego i Nowego Testamentu oraz książka o antycznym Rzymie i Grecji w języku węgierskim. Ojciec chętnie nam objaśniał treść ilustracji. Zaznajamiał nas z kulturą węgierską przy pomocy pięknych ilustrowanych kalendarzy i folderów.

Niestety, w 1929 r. Ojciec został niespodziewanie przeniesiony w stan spoczynku w randze kapitana. Wtedy przeżywaliśmy ciężkie chwile. Gdy zabrakło już pieniędzy, Ojciec pojechał do Lwowa, aby tam sprzedać swoje ukochane skrzypce. W Przemyślu nie było na nie amatora. Dla mnie był to straszny dzień! Przecież te skrzypce były dla Ojca przyjacielem, któremu zwierzał się ze swych przeżyć, szczególnie ze smutku i tęsknoty za ojczyzną. Były dla niego przypomnieniem ojczyzny. One go zawsze rozumiały, więc jak teraz będzie w domu? Dla mnie te skrzypce były jakby jeszcze jedną żywą osobą. Przez cały czas z trwogą w sercu wyczekiwałam powrotu Ojca.



Przemyśl 1929

Późnym wieczorem powrócił ze skrzypcami! Tego rodzaju instrument nie miał specjalnie nabywcy. Płacząc, ściszałam je radośnie, a rodzice patrzyli na mnie ze szczerym zdziwieniem. Ojciec zrozumiał mnie i obiecał, że już nigdy nie będzie ich sprzedawał, w żadnej, choćby najcięższej sytuacji. Słowa dotrzymał.

W ciągu całego tego roku nieustannie poszukiwał pracy w miastach uniwersyteckich. „Znał dobrze łacinę, grekę i oczywiście język węgierski”<sup>5</sup>. Chciał wykładać hungarystykę. Niestety, bezskutecznie. Mama była bliska rozpacz.

Aż pewnego razu, będąc w podróży z Krakowa do Warszawy, spostrzegł w pociągu człowieka czytającego węgierską gazetę. W trakcie rozmowy okazało się, że jest to profesor Adorjan Diveky, który wykładał w Wilnie i w Warszawie. Dowiedziawszy się o ciężkiej sytuacji materialnej naszej rodziny i o bezskutecznych poszukiwaniach pracy przez Ojca, profesor zaproponował, że odstąpi Ojcu swój lektorat języka węgierskiego na

<sup>4</sup> W. Budzyński, Dom Baczyńskiego, s. 82

<sup>5</sup> Idem, Na straconej..., s. 99,

Uniwersytecie Józefa Piłsudskiego, a także pracę w ambasadzie węgierskiej oraz kierownictwo w Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Węgierskiej w Warszawie.

Profesor Diveky odstąpiwszy Ojcu swoje prace w Warszawie, pozostawił sobie etat historyka i historyka w Wilnie na Uniwersytecie Stefana Batorego. Był bardzo zadowolony, że będzie mógł wreszcie więcej czasu poświęcić na pracę naukowo-wydawniczą. Był bowiem członkiem Węgierskiej Akademii Nauk w Budapeszcie.

Ojciec zaraz zamieszkał w Warszawie i w krótkim czasie został wprowadzony przez pana profesora do wszystkich działów pracy. Uważaliśmy to za cudowne zrządzenie Bożej Opatrzności za przyczyną Matki Najświętszej, której wytrwale ufaliśmy. Wiosną 1930 r. nasza rodzina przeniosła się do Warszawy. Tata podjął pracę lektora języka węgierskiego na Uniwersytecie Józefa Piłsudskiego. Został autorem pierwszego słownika polsko-węgierskiego, rozmówek polsko-węgierskich i węgiersko-polskich, oraz tłumaczem książek Zofii Kossak. Był kierownikiem Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Węgierskiej w latach 1936–1938. W ambasadzie także był referentem kulturalnym i wybierał codziennie odpowiednie wiadomości ze wszystkich gazet. Pomagałam mu w tych pracach. Organizował spotkania kulturalne, akademie, obchody uroczystości historycznych, a nawet bale. Mimo że był powszechnie lubiany i ceniony, odznaczał się wielką skromnością.

Zamieszkaliśmy początkowo na Sadybie oficerskiej, a potem przy ul. Tadeusza Hołównki 3 (obecnie ul. Wczasowa).

„Nigdy w takim dużym bloku nie mieszkaliśmy, byliśmy trochę onieśmielone, ale bardzo dobre były tu stosunki sąsiedzkie”<sup>6</sup>.

Wychowywałyśmy się w atmosferze wysoce religijnej i patriotycznej. Rodzice bardzo dbali również o nasze wykształcenie, dlatego posłali nas do szkoły Sióstr Nazaretanek, której poziom był bardzo wysoki. Siostry też uzupełniały i pogłębiały wysiłki rodziców w naszym wychowaniu. Ojciec zawsze sam chodził na wywiadówki i w razie potrzeby pomagał nam w nauce.



Fot. z arch. szkoły sióstr Nazaretanek

---

<sup>6</sup> Idem, Dom..., s. 70



Odsłonięcie tablicy na dziedzińcu  
Uniwersytetu Warszawskiego  
21 XI 2002

Pracował bardzo dużo. Przygotowywał odpowiednie materiały do lektoratu. Układał rozmówki, ćwiczenia gramatyczne, słówka. Wtedy nie było żadnych podręczników do nauki języka węgierskiego. Ojciec jest autorem pierwszego słownika polsko-węgierskiego i węgiersko-polskiego. „Pamiętam, robiliśmy

korektę, biegałam do drukarni, cieszyłam się tą pracą razem z ojcem”<sup>7</sup>. Wydany został (o ile dobrze pamiętam) w drukarni przy ul. Wareckiej 10 w Warszawie.

W 1938 r. w pewnej ciężkiej sytuacji, z którą przyszło mu się uporać, Ojciec zwrócił się do Matki Bożej z prośbą o pomoc. Obiecał wybudować kapliczkę w podziękowaniu za otrzymaną łaskę. Jednocześnie wiedząc o zbliżającej się wojnie, zobowiązał do wypełnienia tego ślubowania całą naszą rodzinę.

W sierpniu 1939 r. po raz pierwszy od chwili rozstania z rodziną i z ojczyzną (1919 r.) pojechał na Węgry z grupą Polaków, uczestników kursu języka węgierskiego, jako jego organizator. Stało się to okazją, aby spotkać się z rodziną i odwiedzić ulubione miejsca.

Tymczasem w Polsce została ogłoszona mobilizacja. W tej sytuacji, wszyscy uczestnicy kursu zdecydowali się pozostać na Węgrzech; dzięki temu ocalili. Mój Ojciec natomiast wrócił natychmiast do Polski, do Warszawy. W domu pożegnał Mamę i moją siostrę średnią Martę (ja i moja najmłodsza siostra Elżbieta byliśmy daleko poza Warszawą) i zgłosił się do wojska, chociaż jako pracownik ambasady węgierskiej i oficer w stanie spoczynku mógł jeszcze czekać na dalszy rozwój wypadków. On jednak bez wahania spełnił swój obowiązek wobec swojej drugiej ojczyzny. Został skierowany do jednostki wojskowej w Przemyślu.



Ilona z Mamą i Elą - 1938

<sup>7</sup> Idem, Dom..., s. 70

„Ojciec przyjaźnił się z jednym księdzem, Słowakiem, o nazwisku Margoryn, proboszczem w kościele przy Senatorskiej. Ksiądz był dobrze zorientowany w zagadnieniach współczesnego świata. Dowodził niezgodności materializmu z katolicyzmem, mówił, że materializm to teoria, która w praktyce okaże się błędem, że to choroba, przez którą przejdą, niestety, kraje, ale to się kiedyś skończy, bo Chrystus musi zwyciężyć”<sup>8</sup>.

31 sierpnia 1939 r. Tata został zmobilizowany i jako kapitan Wojska Polskiego wyruszył na front. W miesiąc po wstąpieniu do Armii Polskiej, w końcu września, został wzięty do niewoli sowieckiej w czasie, kiedy wraz ze swoim oddziałem przedostawał się do Rumunii. I ostatecznie trafił do obozu jenieckiego dla polskich oficerów w Starobielsku. Oficerowie, którzy zdjęli szlify oficerskie, mogli opuścić obóz. Mój Ojciec, jako jeden z wielu, nie chciał wolności za taką cenę. Na liście katyńskiej nazwisko jego figuruje, jako jeńca w Starobielsku. Ze Starobielska więźniów przewożono do Charkowa, gdzie przy placu Dzierżyńskiego 3, NKWD zabijało ich strzałem w tył głowy. A grzebano w Potichatkach koło Charkowa. W księdze cmentarnej Charkowa nazwisko Ojca ma numer 1434.

„Inni otrzymywali kartki z frontu – my żadnej... To długie milczenie bardzo nas niepokoiło. Poszłam na Warecką do Czerwonego Krzyża. Trzeba było zająć w przeddzień wieczorem kolejkę, przenocować u dozorczy, czyli na schodach – tylu ludzi szukało swoich. Były różne kartki, listy jeńców z oflagów, w kopertach i bez kopert – wszystko porzucane po stole. Nic nie znalazłam...

Mama ciągle płacze:

– Źle szukałaś, źle szukałaś.

Mówię:

– Za tydzień jeszcze raz pójdę.

Pracowałam w tym czasie w fabryce gilz. Od świtu do nocy. O zwolnieniu nie było mowy.

Na trzeci dzień miałam sen: przychodzi Marta i mówi:

– Nie szukaj w Czerwonym Krzyżu, ja ci pokażę, gdzie jest Tatuś.

I czuję w tym śnie, że mnie unosi i lecimy na wschód. Mówię: – Tusi, gdzie ty mnie prowadzisz? Dokąd my lecimy? To chyba już Rosja, Ukraina. Tu nie ma żadnych miast ani wsi, same stepy, pustkowia, jakby w stronę Czarnego Morza?

A ona odpowiada:

– Masz rację, to jeszcze dalej – za Kijów, za Charków, do Starobielska. Tam jest Tatuś!

Zniżamy się hen, daleko za miastem, nad jakieś zabudowania klasztorne; czerwona cegła, kopuły cerkiewne i zaraz znajdujemy się w refektarzu – sala z dwoma wejściami, pośrodku duży, drewniany stół, dokoła nasi oficerowie, dwudziestu paru... Siedzi Ojciec, koło niego miska. Zmizerowani, mundury obdarte, ale ze szlifami, zarośnięci, wychudli, oczy błyszczące, chyba od gorączki. Jedzą jakąś nędzną polewkę. Z boku stoją dwaj żołdaci z bagnietami na sztorc, w ruskich czapach.

---

<sup>8</sup> Ibidem, Dom..., s. 70-75

Ojciec spojrział na mnie i tym wzrokiem jakby mówił:

- Popatrz, jak daleko jestem, tutaj... przecież stąd wiadomości długo idą, a ja pisałem kartki i na pewno dojdą... Niech Mama będzie cierpliwa. Uspokój Mamę... Powiedz, w jakich warunkach tu jestem...

I od razu się obudziłam. Było rano. Wcześniej poszłam do pracy. Po powrocie mówię:

- Mamo, ja wiem, gdzie jest tatuś: w obozie w Starobielsku, w Rosji!

- A skąd wiesz?

- W nocy mi się śniło... Tatuś mówił, że kartka przyjdzie. Mama na to:

- Nie będziesz mi tu bajek opowiadała! Nie chce ci się iść do Czerwonego Krzyża!

I rozpląkała się...

Nie mijają i trzy dni, wracam wieczorem do domu i widzę Mamę zapłakaną:

- Ilonka, popatrz, tyś miała rację! To wszystko jest prawda, coś ty mówiła. Popatrz, wrócił ze Starobielska pan Burzyński i na dowód, że mówi prawdę, przywiózł zegarek Ojca.

Burzyński opowiadał o Ojcu, że jest w Starobielsku, w obozie, w dawnym klasztorze. Samego Burzyńskiego, jako szeregowca, zwolnili, ale zostawili wszystkich oficerów, którzy nie chcieli zerwać szlifów...

Capnęli ich prawie na samej granicy rumuńskiej, w Złoczowie, gdy już mieli granicę przekraczać. Ojciec tak był zdenerwowany, że z wrażenia cały czas mówił tylko po węgiersku. Rosjanie uznali, że to szpieg i chcieli go rozstrzelać. Wybronili Ojca koledzy, mówiąc, że zna dobrze i polski, i węgierski, że wykładał hungarystykę na uniwersytecie. Później, w drodze do obozu, zorganizowali orkiestrę. Ojciec był bardzo muzykalny, co mu zjednało ogólną sympatię, także Rosjan. Burzyński więcej się u nas nie pojawił i nie wiem, co się z nim stało”<sup>9</sup>.

Po Bożym Narodzeniu 1939 r. przysłała od Taty spóźniona kartka jeszcze z Charkowa, że ich przenoszą do Starobielska. A stamtąd ostatnia kartka, którą otrzymałam dzięki państwu Jolancie i Aleksandrowi Grothussom, którzy mieszkali na Grochowie i z wielką troskliwością przechowali ją przez 40 lat.

„- Nie pamiętam, który był to rok – mówi Jolanta Grothuss – przysłała do nas pani Korompayowa i jakby coś przeczuwając, dała na przechowanie kartkę z ostatnią wiadomością od męża, Emanuela Korompaya, którego na początku wojny internowali Rosjanie. Była to kartka ze Starobielska...<sup>10</sup>

Tej nocy przyszło po mamę gestapo. „(...) Z rana Jolanta Grothuss, wychodząc z mieszkania, zobaczyła zaplombowane drzwi.

- Tej nocy, kiedy do Korompayów przyszło gestapo, na klatce schodowej był jeden wielki ryk – tak strasznie matkę tłukli. Meble fruwały przez okna. Wszyscy trzęśliśmy się ze strachu”<sup>11</sup>.

„Pan Aleksander Grothuss († 1990) miał w chwili rozmowy ze mną ponad 80 lat i nie bardzo pamiętał, gdzie tę cenną pamiątkę schował. Wreszcie ją odnalazł i oto trzymam ją w ręku. Kartka pocztowa z godłem ZSRR i dwoma znaczkami. Adres [po rosyjsku]: Germanija, Warszawa [i po polsku]: ul. Tadeusza Hołównki 3/81, kapitanowa Mieczysława

<sup>9</sup> Idem, Na straconej..., s. 100-101

<sup>10</sup> Idem, Dom..., s. 68

<sup>11</sup> Idem, Na straconej..., s. 97

Korompayowa. Adres nadawcy [po rosyjsku]: ZSRR. Starobielsk, skrzynka pocztowa 15, Emanuel Korompay. Na odwrocie ołówkiem:

„...Droga (po węgiersku) moja złociutka Ptaszynko, kwiatku malutki” (i dalej już po polsku) – „Kochane moje dzieci. Od 15 listopada jestem tu w Starobielsku w Rosji, poprzednio byłem w Złoczowie, potem w Zborowie i Szepetówce. Jestem zdrow, ale bardzo smutny, że nie otrzymałem do tej pory ani jednego listu. Nie wiem, gdzie jesteście, czy żyjecie i jak? Może wyjechałyście na Węgry. To już czwarty list mój do Ciebie. Trzy osoby wysłałem do Ciebie z pieniędzmi. (Tu opis, gdzie i w jaki sposób – jeszcze przed internowaniem – pieniądze te zostały przekazane i w jaki sposób można je było odebrać). Czy wszystko otrzymałaś? Czy Ilonka wróciła z Kownat, a Elżunia z Kielc? Okropnie martwię się, Kochana, co jest z Wami. Piszcie choć jedno słówko. Całuję Was 100000 razy. Twój Kochający mąż i Wasz Kochający ojciec – Aladar. Starobielsk, 8 III 1940.



Była to ostatnia wiadomość od Ojca”<sup>12</sup>.

Pierwszą ofiarą wojny w naszej rodzinie była moja młodsza siostra Marta, urodzona 19 grudnia 1919 r. w Przemyślu. Od 1 września 1930 r. była uczennicą szkoły powszechnej, a potem gimnazjum i liceum humanistycznego Sióstr Nazaretanek. Po uzyskaniu matury w maju 1939 r. została przyjęta na wyższe studia dyplomatyczne.

5 września 1939 r. Marta i nasza Mama Mieczysława rozpoczęły pracę jako ochotniczki w Komendzie Głównej Miasta Warszawy, która mieściła się w Hotelu Europejskim przy placu Józefa Piłsudskiego. Marta była sanitariuszką w dziale łączności i opieki nad chorymi tej jednostki, natomiast Mama pracowała w dziale aprowizacji.

26 września 1939 r. podczas silnego bombardowania w godzinach południowych, zawalił się sufit sali, w której znajdowało się około 70 osób. Pod gruzami zginęła tylko Marta, i to śmiercią natychmiastową, spowodowaną silnym uderzeniem cegieł spadających na jej głowę. Pozostałe osoby wraz z naszą Mamą, która w tragicznej chwili stała obok Marty, wydobyto spod gruzów żywe, chociaż z różnymi obrażeniami. „Tymczasowo pochowano Martę na chodniku przed Hotelem Europejskim, niedaleko obok miejsca, gdzie zginęła, od strony obecnego placu Zwycięstwa”<sup>13</sup>. Ekshumacja zwłok nastąpiła pod koniec października 1939 r. Marta została pochowana na cmentarzu Czerniakowskim. Na tablicy umieszczonej na jej grobie, już po wojnie, zostały wyryte symbolicznie imiona Ojca, Matki i siostry Elżbiety.

<sup>12</sup> Idem, Dom..., s. 68-69

<sup>13</sup> Por. Idem, Dom..., s. 69





Marta, nazywana w rodzinie zdrobniale „Tusią”, mimo młodego wieku, miała już ukształtowany charakter. Była cicha, skromna, pogodna, subtelna, uczynna i pełna osobistego czaru. Bez słowa sprzeciwu spełniała nawet te czynności, które zrzucały na nią siostry z własnego wygodnictwa. Niekiedy płakała, ale płacz jej był dyskretny, bo nie chciała spowodować ukarania sióstr za ich niewłaściwe postępowanie. Kochali ją wszyscy: i rodzina, która nazywała ją „aniołem zgody”, i koleżanki szkolne, a nawet mieszkańcy domu przy ul. Hołówki 3, w którym mieszkaliśmy. Jej cechą charakterystyczną była zawsze troska o roztaczanie opieki nad słabymi i pokrzywdzonymi przez los. Kochała dzieci i zwierzęta. Zawsze cieszyła się wielką sympatią ze strony otoczenia nie tylko ze względu na nieprzeciętne walory zewnętrzne (była śliczną blondynką), ale przede wszystkim wewnętrzne. Marta miała narzeczonego, inż. Mieczysława Pałaszewskiego, który przeżył wojnę w oflagu.

W 1934 albo w 1935 r. Ojciec polecił nam napisanie oddzielnych listów do swego przyjaciela Węgra, ojca Mariana Totha – zakonnika z Jasnej Góry. Po otrzymaniu naszych listów ojciec Marian w liście skierowanym do naszego Ojca napisał o Marcie: „To dziecko jest aniołem na ziemi i już przygotowanym do nieba”. Miała wtedy 15–16 lat. Przepowiednia ojca Mariana sprawdziła się, bo ukochana przez wszystkich Marta pierwsza odeszła z rodziny – w inną, lepszą krainę.

Mnie „wybuch wojny zastał w Kownatach na Podlasiu, w majątku u koleżanki. W piątek 1 września pojechałam jeszcze na targ do Międzyrzecza Podlaskiego, a tam już spadały bomby. Musiałam więc zatrzymać się u Wandy Zaborowskiej w Kownatach. Gdy front się przesunął na wschód, znów przyszli Niemcy i dopiero wtedy mogłam wrócić do Warszawy.

[...]Nie wiedziałam, że Marta zginęła. Przyszłam do domu i pytam, gdzie jest siostra. Mama mówi, że gdzieś tam pojechała. Ale widzę, że jej płaszcz wisi, a było już zimno... Mama nie miała siły mi powiedzieć...

Marta była ukochaną córką mamy, ja – taty. Kiedy wybuchła wojna, pracowały razem w Komendzie Głównej Obrony Warszawy, w Hotelu Europejskim – ostatniej siedzibie prezydenta Starzyńskiego.

Marta najpierw była pochowana na placu Piłsudskiego, nieopodal miejsca, gdzie poległa (tu wiele lat później, w 1979 r., stanął ołtarz papieski). Kiedy Niemcy weszli do Warszawy, fotografowali te groby i mówili między sobą, że zrobią tak z całą Warszawą, z całą Polską”<sup>14</sup>. Słyszała to stojąca tam Mama, która dobrze znała język niemiecki.

Po ciemku poszłam wtedy na grób siostry. Było to już po ekshumacji. Od tamtej pory nie boję się cmentarzy. Wracając z pracy, po ciemku, często tam zachodziłam”<sup>15</sup>.

<sup>14</sup> Ibidem, Dom..., s. 69-70

<sup>15</sup> Idem, Na straconej..., s. 98

Niespodziewana nagła śmierć Marty pogрузyła naszą Mamę w otchłani rozpacz. Ciągle przebywała na grobie córki, chciała zginąć, by połączyć się z dzieckiem. Odłamki szrapneli i kule gęsto padające nawet jej nie drasnęły. Po zakończeniu wrześniowych działań wojennych, po powrocie Elżbiety i moim do Warszawy nasza Mama pomalu zaczęła powracać do normalnego życia.

Śmierć Marty, brak wiadomości o Ojcu gęboko wstrząsnęły naszą osieroconą rodziną. Nie można było jednak poddać się rozpacz, należało działać, by w ciężkich okupacyjnych warunkach stworzyć możliwość przetrwania. Mama podjęła pracę w Radzie Głównej Opiekuńczej (RGO), w punkcie żywienia przy ul. Czerniakowskiej róg Przemysłowej, gdzie najbiedniejszym udzielano pomocy. Elżbieta uczyła się na tajnych kompletach, a ja pracowałam w fabryce gilz przy ul. Wroniej, zasilając w ten sposób skromny budżet rodzinny.

W kwietniu 1940 r. nasz ukochany Tata został zamordowany przez NKWD w Charkowie (tam mordowano więźniów Starobielska) wraz z kilkunastu tysiącami polskich oficerów, przebywających w obozach jenieckich w Związku Radzieckim, o czym dowiedziałam się kilka lat po zakończeniu wojny z publikacji londyńskiej. Z obozu jenieckiego w Starobielsku otrzymaliśmy od Taty, jak wspomniałam wyżej, tylko kartę pocztową z 8 marca 1940 r. i dostarczony przez żołnierza (który jako szeregowiec został zwolniony z obozu), zegarek Taty ze srebrną dewizką, składaną w harmonijkę; na końcu – medalik ze świętym Emerykiem, patronem młodzieży węgierskiej, i koroną świętego Stefana z drugiej strony.

Ojciec nasz był drugą z kolei ofiarą wojny rozpętaną przez Hitlera. A trzecią była moja młodsza siostra Elżbieta.



Urodziła się 8 lipca 1921 r. w Przemyśle. Od 1 września 1928 r. uczęszczała do szkoły powszechnej, a potem do gimnazjum ogólnokształcącego Sióstr Nazaretanek w Warszawie. Gdy w 1935 r. nie otrzymała promocji do klasy następnej, sama podjęła decyzję i przeniosła się do prywatnego gimnazjum Wandy Jakubowskiej w Warszawie.

W okresie okupacji kontynuowała naukę w tej szkole, uczęszczając przez dwa lata na komplety tajnego liceum, które ukończyła, zdając maturę w 1941 r. W tymże roku rozpoczęła studia medyczne w Prywatnej Szkole Zawodowej dla Pomocniczego Personelu Sanitarnego dr. J. Zaorskiego (tajny Wydział Lekarski). W 1935 r. Elżbieta wstąpiła do harcerstwa, którego nie było w szkole w Nazarecie. Znalazła się w XI drużynie Chorągwi Warszawskiej Organizacji Harcerskiej, gdzie z zapałem zdobywała różne sprawności harcerskie i uczestniczyła w letnich obozach.

„Wybuch wojny zastał Elżbietę na obozie harcerskim na Śląsku. Z trudnością po dłuższym czasie dotarła do Warszawy. W 1941 r. za zgodą Matki wstąpiła do konspiracji.

Była łączniczką ppłk. dypl. Mariana Drabika, ps. „Dzięcioł”, szefa Oddziału Informacyjno-Wywiadowczego KG ZWZ-AK (Komenda Główna Związku Walki Zbrojnej – Armia Krajowa).

9 stycznia 1943 r. Elżbieta, ps. „Grażyna”, została aresztowana poza domem w lokalu konspiracyjnym. Podczas rewizji znaleziono przy niej obciążające materiały. Niemcy uznali ją za przestępcę politycznego. W asyście gestapowców w cywilu była oprowadzana po warszawskich kawiarniach w celu ujawnienia i aresztowania znanych jej konspiratorów. Elżbieta wzrokiem ostrzegała napotkanych. Nikt nie wpadł...”<sup>16</sup> Swym umiejętnym zachowaniem zdołała ostrzec zagrożonych, by się do niej nie zbliżali.

Torturowana podczas przesłuchań w al. Szucha, nikogo nie wydała.

W 1945 r. współkonspiratorka i współwięźniarka Jadwiga Cybulska, ps. „Saba”, powiedziała mi: „[Elżbietę] skatowaną na Szucha wrzucono do pomieszczenia obok mojego, o czym wtedy nie wiedziałam.

Rano 13 stycznia zrobił się gwałtowny ruch, szum na korytarzu i biegania gestapowców, wyraźnie zdenerwowanych i przeklinających, że coś się stało nie po ich myśli... Wywlekli z niej ciało Elżbiety, szeleszcząc papierem, w który usiłowali ją zawinąć. Gestapowcy stwierdzili, że się otruła. Ta wiadomość ta dla nas, uwięzionych i złączonych z Elżbietą wspólną sprawą, była wybawieniem. Mogłyśmy teraz wszystko zrzucić na nią. To nas uratowało w czasie dalszych przesłuchań i pomogło przetrwać Oświęcim”<sup>17</sup>.

...„Elżbieta nosiła zawsze przy sobie truciznę (dwie pastylki cyjanku, białe małe kuleczki). Ponieważ ja też należałam do AK, miałam także przy sobie stale takie pastylki, spytałam ją kiedyś, czy ich użyje, jeśli zaszłaby taka potrzeba. Z głębokim smutkiem w głosie, pełna powagi, odrzekła: «Naturalnie, to dla ratowania innych»”<sup>18</sup>.

Na tablicy pamiątkowej umieszczonej w Muzeum Walki i Męczeństwa przy al. I Armii Wojska Polskiego (dawna siedziba gestapo przy al. Szucha) figuruje nazwisko Elżbiety. Pośmiertnie została odznaczona Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami i orderem Virtuti Militari.

Halina Zakrzewska, szefowa Elżbiety i moja w czasie konspiracji, tak do mnie kiedyś powiedziała: „Order Virtuti Militari w pełni jej się należał, ponieważ złożyła największą ofiarę – oddała swoje życie, by uratować innych”. W dzieciństwie i w latach młodzieńczych Elżbieta była bardzo chorowita, słaba, zalękniona, małomówna, a równocześnie bardzo ambitna, pracowita, wytrwała, energiczna i opanowana. W ostatnim roku przebywania na wolności stała się bardzo smutna i jeszcze bardziej milcząca.

Straciła nie tylko ukochanego Ojca i siostrę Martę, ale również i narzeczonego, Zbyszka Turskiego, ps. „Włodek”, który zaginął na Wschodzie, pełniąc służbę w polskim wywiadzie na terenie działania armii niemieckiej.



<sup>16</sup> Idem, Dom..., s. 77

<sup>17</sup> Idem, Na straconej..., s. 103

<sup>18</sup> Idem, Dom..., s. 79

„Brat jego, Jacek, przechowuje plik listów Elżbiety do Zbyszka. Mówi: «Matka przeczuwała śmierć brata. Od 1942 nie dawał znaku, i wtedy właśnie Elżbieta Korompay postanowiła jechać jego śladem, aby dowiedzieć się, co się z nim stało. Nie zdążyła. W styczniu 1943 r. zabrało ją gestapo»”<sup>19</sup>.

Codziennie, trudne warunki życia w okupowanym kraju, niepewność jutra, a przede wszystkim odpowiedzialna, pełna niebezpieczeństw praca konspiracyjna, grożąca w każdej chwili utratą wolności i śmiercią nie tylko jej, ale i najbliższym – nie sprzyjały wesołości. Życie było ciężkie, nie można było poddawać się, trzeba było walczyć i Elżbieta podjęła tę walkę na najniebezpieczniejszym odcinku, która mimo jej śmierci, była również i jej zwycięstwem.

Mimo straszliwych tortur nikogo nie wydała, a dzięki złożeniu ofiary z własnego życia uratowała wiele osób, które przeżyły Pawiak i Oświęcim i doczekały się wolności po klęsce Niemiec. Odebrała sobie życie również i dla ratowania naszej Mamy, dla której widok torturowanej córki był tak wielkim wstrząsem, że mógł zagrażać jej życiu.

W 1942 r. do tej samej organizacji wstąpiła nasza Mama w charakterze łączniczki. Mieszkanie nasze przy ul. T. Hołówki 3 stało się punktem kontaktowym i łączności konspiracyjnej, a Mamusia między innymi organizowała ekwipunek dla osób wyjeżdżających w teren. I ja również, za zgodą Mamy, pracowałam w dziale łączności (kryptonim WWII.72) KG AK.

„Trzy dni po aresztowaniu Elżbiety, w nocy z 11 na 12 stycznia 1943 r. Niemcy aresztowali w naszym mieszkaniu Mamę i przewieźli ją do siedziby gestapo przy al. Szucha, gdzie ją bito i torturowano”<sup>20</sup>.

Na wyraźny rozkaz Mamy, która chciała mnie ratować po aresztowaniu Elżbiety, nie byłam tej nocy w domu. Mama sądziła, że znając dobrze język niemiecki jakoś sobie poradzi.

„Mieszkanie zostało szczegółowo zrewidowane, ograbione i opieczętowane.

Na Szucha w jej obecności gwałcono Elżbietę. Czyniono to kilka razy w nocy. W końcu Matkę zabrali na przesłuchanie do pokoju, w którym leżały zwłoki zamordowanej córki. Mama była bliska obłędu, ale mimo tortur i bicia, nie załamała się i gestapowcy nic z niej nie wydobyli”<sup>21</sup>.

„Mieczysławie Korompay zarzucano przynależność do AK oraz, jako żonie byłego pracownika poselstwa węgierskiego, brak solidarności z polityką Hitlera. Od 1939 r. Węgry były formalnie sprzymierzone z Niemcami hitlerowskimi i Węgrzy mogli korzystać ze specjalnych przywilejów. Zarzucano jej „podwójną zdradę” i z wściekłością znęcano się nad nią. Po ciężkim wstrząsie psychicznym, długo przebywała w szpitalu na Pawiaku”<sup>22</sup>.

Ja nie wiedziałam, co się dzieje z Mamą i siostrą. Widziałam tylko we śnie, że Mama stała przy mnie i miała na sobie jakby dwie żałoby: dwa kapelusze, dwie czarne woalki. Wtedy jeszcze nie wiedziałam o śmierci Elżbiety...<sup>23</sup>

---

<sup>19</sup> Idem, Na straconej..., 102,

<sup>20</sup> Idem, Dom..., s. 266

<sup>21</sup> Idem, Na straconej..., s. 106

<sup>22</sup> Idem, Dom..., s. 85 i 87

<sup>23</sup> Por. Ibidem, s. 85

2 października 1943 r. otrzymałam od Mamy gryps, w którym napisała, że już pogodziła się z wolą Bożą i jest gotowa przyjąć w spokoju wszystko, co może ją jeszcze spotkać.

„Mamę wielokrotnie reklamowano z transportów, ale w końcu 5 października 1943 r. wywieziona została do Oświęcimia, gdzie pewnego razu przyśniła się jej Elżbieta<sup>24</sup>”. Według relacji Zofii Kossak-Szczuckiej: „przyszła do niej i powiedziała: «Nie płacz, mamo, za sześć tygodni skończy się twoje utrapienie...» Sen był wyjątkowo wyrazisty, realny i Korompayowa obudziła się, słysząc jeszcze głos dziecka w uszach. Nie wątpiła, a przekonanie to podzielały jej towarzyszkę, że sen ma znaczenie prorocze. Za sześć tygodni znajdzie się zatem na wolności, prawdopodobnie ze wszystkimi koleżankami, bo jak – tłumaczyła – «gdyby zwolniono mnie samą, trapiłabym się nadal waszym losem, a Elżunia wyraźnie powiedziała, że moje utrapienia się skończą»... Brzmiało to bardzo logicznie i cieszył się cały blok. W mig obliczono, że termin podany przez zmarłą córkę wypadnie w połowie stycznia. Szkoda wprowadzić, że tak długo, że dopiero po świętach, ale trudno...”<sup>25</sup>

„Mama pod koniec stycznia 1944 r. zachorowała na tyfus. Sen był w istocie proroczy – Mieczysława Korompay umarła w sześć tygodni później: 29 stycznia 1944 r.”<sup>26</sup>.

W obozie oświęcimskim, jak pisze Zofia Kossak-Szczucka w książce *Z otchłani*, do końca swego życia była uosobieniem cierpliwości, łagodności i opanowania. Materiały w sprawie bestialskich tortur zastosowanych w gestapo w czasie przesłuchania Elżbiety i naszej Mamy zostały przekazane do Norymbergi, gdzie między innymi toczył się proces przeciwko okrutnemu gestapowcowi z al. Szucha Francowi Hannowi.

Po śmierci Elżbiety gestapo rzekomo chciało oddać mi jej ciało. „Agenci gorliwie dopytywali się o mnie u dozorcę domu przy Hołówki, p. Kozłowskiego. „Dziwili się”, że jako ostatnia z rodziny, nie jestem zatroskana o los swej siostry. Dwoje agentów stale poszukiwało mnie aż do końca okupacji. Próbowano też coś wyciągnąć od Matki... Nie miałam jeszcze lewych dokumentów, znajomi znajomym przekazywali mnie, bym mogła nocować ciągle w innym miejscu...

Przy ul. Podchorążych, naprzeciw naszego domu, mieszkała pani Uzarska. Dawniej często bywałam u niej z Mamą. Pani Uzarska była wdową, miała jedną córkę. Kiedy dozorca naszego domu powiedział mi: „Niech pani się nie pokazuje, bo Niemcy o panią pytają” – to właśnie do niej się udałam.

– Ciężko, zimno – mówię, bo nie miałam ciepłej odzieży. A tam akurat był sąsiad (niestety, nie pamiętam, jak się nazywał).

– To jest do załatwienia – mówi.

– Ależ tam jest „wrona” na drzwiach!

– Pieczętkę się oderwie. Niech pani da klucze...

Po jakimś czasie przychodzi, a na mnie już czeka cała walizka ciepłych rzeczy. Zaproponował, że jeszcze raz pójdzie. Zauważyłam przy tym, że na jego dzieciach były nasze ubrania, więc mówię:

---

<sup>24</sup> Ibidem, s. 87

<sup>25</sup> Z. Kossak-Szczucka, *Z otchłani*, s. 211-212

<sup>26</sup> W. Budzyński, *Na straconej...*, s. 106

- To niech pan sobie też coś weźmie, ale niech pan się za bardzo nie naraża.

Znów przyszedłam, a pani Uzarska w lament:

- O Boże! Zabrali go - i szczegółowo opowiedziała mi, co się stało. Był w naszym mieszkaniu nie raz, ale kilka razy. Tym razem nie zauważył, że „wrona” zerwana, i wszedł. W środku było trzech esesmanów. Ucieszyli się ogromnie na jego widok.

- A, mamy cię, ptaszku, to ty jesteś w kontakcie z tą Iloną. Jeżeli jej nie wydasz, cała twoja rodzina pójdzie na rozwałkę.

I z miejsca go zabrali...

Wszyscy do mnie w płacz i błaganie, żebym ich ratowała. Puścili go w końcu na wabika, gdy im obiecał, że mnie znajdzie. Miał się co parę dni meldować. Chodził po ulicach i udawał, że mnie szuka, a koło niego cały czas kręcili się agenci. Trwało to tak całą zimę - oni już tam z tego utrapienia chorowali, ten pan posiwał... W końcu pani Uzarska mówi:

- Proszę pani, niech pani się wyda, bo ich rozstrzelają.

Mówię:

- Póki Mama jest na Pawiaku, nie mogę oddać się w ich ręce.

Mama strasznie rozpaczliwe listy pisała z Pawiaka, ciągle była albo w izolatce, albo w szpitalu. I myślałam: „Panie Jezu, Ty jeden tylko możesz Mamę uratować”.

Musiała to być już jesień - Mamę zabrali do Oświęcimia. Ten sąsiad przez panią Uzarską ciągle mnie molestował. I wtedy powiedziałam:

- Dobrze.

Umówiliśmy się za pośrednictwem pani Uzarskiej na Okęciu, w kartofliskach. Miałam już fałszywe nazwisko - Halina Wicińska, a przy sobie cały czas dwie pastylki cyjanku. Leżymy w brudkach. Sąsiad mówi:

- Najlepiej, jak pani poda jakiś adres.

Umówiliśmy się, że będę w hotelu przy Świętokrzyskiej: zamelduję się na trzy noce, a on po pierwszej nocy da znać do gestapo, ale tak, żebym zdołała uciec przed końcem godziny policyjnej. Było to ogromne ryzyko, tym bardziej że cały czas miałam kontakt z komórką AK.

Wzięłam dowód na prawdziwe nazwisko i poszłam do hotelu. Była to najgorsza noc w moim życiu. Za każdym hałasem - a hotel był nie najlepszej marki - myślałam, że to już gestapo idzie. Tuż przed końcem godziny policyjnej, przed szóstą, ubrałam się i wyszłam. Ledwo znalazłam się na ulicy, zaraz słyszę syreny od Marszałkowskiej... Wpadli, pozamykali bramy, przesłuchiwali recepcjonistkę, przeprowadzili dokładną rewizję... Od pani Uzarskiej dowiedziałam się, że sąsiadowi dali spokój<sup>27</sup>.

„Po Matce pozostała kartka z Oświęcimia. Papier już podniszczony, ołówek się zatarł. Trudne do odczytania słowa, pisane po niemiecku, bo tylko po niemiecku wolno było tam pisać. Nadawca oprócz adresu musiał podać także datę urodzenia i numer obozowy.

---

<sup>27</sup> Ibidem, s. 103-105



Kartka z datą 17 X 1943 r. adresowana do Stanisławy Uzarskiej, zamieszkałej przy ul. Podchorążych, zaczyna się od słów: „Liebe Frau Stanisława...” Mieczysława Korompay zmarła w styczniu 1944 r. Zbrodnia katyńska wyszła na jaw w kwietniu 1943 r. Ale o śmierci męża Mama już się nie dowiedziała...<sup>28</sup>

Na zakończenie wspomnę jeszcze o wydarzeniu, które głęboko zapadło w moją pamięć. W pięknej i ciekawej bibliotece mojego Ojca znajdowało się Pismo Święte, Stary i Nowy Testament, napisane w języku węgierskim, z licznymi kolorowymi rycinami. Ojciec pokazywał je i objaśniał nam, dziewczynkom. Kiedyś natrafiłyśmy na dwie ryciny, które napęłniły nas przerażeniem. Na pierwszej rycinie zobaczyłyśmy młodą dziewczynę, która nocą, w poświacie księżyca uchyla całun, pod którym leżą dwie postacie. Drugi rysunek przedstawiał wielką dolinę pokrytą ludzkimi kośćmi. Czyżby te dwie ryciny miały stanowić analogię do moich późniejszych przeżyć? Pierwsza – to ciała Marty i Elżbiety, druga – to obóz starobielski Ojca i obóz oświęcimski Matki...

Wydaje mi się, że groza II wojny światowej znacznie przewyższała wizje proroków Starego Testamentu.

Z naszej pięcioosobowej rodziny tylko ja przeżyłam wojnę. Dziwny, ale przecież nie przypadkowy ciąg wydarzeń spowodował, że w 40 lat później jakąś kontynuacją dziejów naszej rodziny, a szczególnie życia mojego Ojca, stał się mój udział w budowie Sanktuarium Matki Bożej Fatimskiej na Osiedlu Słonecznym w Szczecinie. Jestem bardzo szczęśliwa, że moja pomoc przy tej budowie przyczyniła się do wykonania woli mego Ojca, który jeszcze przed wojną prosił nas, swoje córki, o wybudowanie Matce Bożej kapliczki jako wotum za



<sup>28</sup> Ibidem, s. 107

doznane przez niego za Jej pośrednictwem wielkie łaski.

Było to w roku 1938. Mój Ojciec – referent w dziale prasowym i kulturalnym ambasady węgierskiej w Warszawie – miał wygłosić referat i poprowadzić uroczystą akademię z okazji rocznicy Wiosny Ludów i powstania na Węgrzech. Zaproszono wielu gości. W dniu akademii Ojciec nagle zachorował. Na odwołanie jej było już za późno. Przerażony powiedział wówczas:

- Jeśli dziś tam będę mógł być, to na podziękowanie wybuduję Matce Bożej małą kapliczkę.

Akademia wypadła nadspodziewanie dobrze, a po powrocie do domu Ojciec zwrócił się do nas:

- Przypominacie sobie, co przyrzekłem Matce Bożej? Jeśli nie mógłbym tego wypełnić, to wam, moim dzieciom to przekazuję.

Zapamiętałam słowa Ojca. W następnym roku wybuchła wojna, a losy naszej rodziny potoczyły się tragicznie: Tata zginął w Starobielsku, Mama w Oświęcimiu, siostra Marta podczas oblężenia Warszawy, a najmłodsza Elżbieta w gestapo przy alei Szucha. Tylko ja przeżyłam, aby wypełnić zobowiązanie.

W roku 1994, po dziesięciu latach budowy, na Ziemiach Odzyskanych (niegdyś protestanckich), w Szczecinie, na Osiedlu Słonecznym powstała kaplica ku czci Matki Bożej Fatimskiej. Kaplica ta powstała zgodnie z życzeniem Ojca Świętego Jana Pawła II. Została tam także wmurowana tablica pamiątkowa oraz prochy naszych męczenników z Charkowa, ponieważ 28 kwietnia 1989 r. przekazałam do tego sanktuarium część ziemi katyńskiej, którą otrzymałam od ks. kanclerza Zdzisława Króla. Wypełnienie ślubowania mojego Ojca z roku 1938 zawdzięczam Miłosierdziu Bożemu.





## ROZDZIAŁ IV: OKRUCHY WOJENNE

---

Z lat wojny pozostało wiele wspomnień, które wciąż są dla mnie dowodem szczególnej opieki Matki Bożej nad nami.

### *Punktualność niemiecka*

Już w roku 1939 miałyśmy wiadomość, że w obozach na Węgrzech są internowani Polacy. Poszukiwałyśmy Ojca przez ambasadę węgierską w Polsce, jak też przez p. Kolarą, który był pracownikiem w ambasadzie węgierskiej w Moskwie, przez Czerwony Krzyż i przez rodzinę Ojca na Węgrzech. Niestety, bez najmniejszego rezultatu.

Nasi znajomi, którzy mieli swoich najbliższych uwięzionych na Węgrzech, pragnęli im pomóc finansowo. Uzgodniono, że nasza rodzina, tj. rodzina Ojca, będzie pomagać polskim więźniom na Węgrzech, a tutejsi nasi znajomi – nam. Słowem, wymiana, która poratuje w ciężkiej sytuacji. Ułożono tekst listu po niemiecku – gotykiem – i ja, chociaż nie znałam takich liter, pięknie to przepisałam, po czym wysłano go pocztą na Węgry. Po dwóch tygodniach przychodzi do nas wezwanie do Urzędu Celnego w Warszawie na Nowym Świecie. W wyznaczonym dniu i godzinie Mama poszła do tego Urzędu i czekała tam na wezwanie kierownika.

Jakoś to wszystko się opóźniało, Mama spacerowała po korytarzu, ze zniecierpliwieniem spoglądając na zegarek. Po dwudziestu minutach podchodzi do wartownika i pyta po niemiecku:

– Minęło już dwadzieścia minut, odkąd tu czekam, gdzie jest ta wasza punktualność niemiecka?

Żołnierz zgłosił to do kierownika i za chwilę została wezwana do pokoju urzędnika. Zobaczyła, że na biurku leży nasz list!

Niemiec wyjaśnił Mamie, że jest to przestępstwo celne – takich wymian robić nie wolno. I że chyba Mama o tym dobrze wiedziała! Teraz więc zaaresztowałby ją, gdyby nie te słowa uznania dla niemieckiej punktualności.

– Tylko dzięki temu wychodzi pani z tego urzędu – inni byliby już na Pawiaku!

Ja tymczasem denerwowałam się bardzo, czekając na przystanku tramwajowym naprzeciwko tego urzędu. Gdy wreszcie zobaczyłam Mamę, była błada śmiertelnie. Podeszła do mnie i mówi:

– To cud, że wyszłam stamtąd; chodź ze mną do kościoła, pomodlimy się.

I dopiero w kościele opowiedziała mi, co się wydarzyło.

Zerwałyśmy kontakt z rodziną Ojca – ponieważ uchodziło to za szpiegostwo według kodeksu najeźdźcy.

### *Bochenek chleba*

W zimie 1939/1940 r. pracowałam przy ulicy Wroniej, w fabryce gilz i papierosów w firmie Pacholczyka, która była pod zarządem niemieckim. Dostałam się tam przez protekcję znajomych, dzięki czemu miałam kenkartę, raz w tygodniu bochenek chleba i niewielką kwotę pieniędzy. Najcenniejszy był chleb. Pracowało się 10 godzin dziennie

z jedną przerwą piętnastominutową na wypicie namiastki herbaty z kromką kartkowego chleba posmarowaną marmoladą.

Pracowałam w dziale gilz. Trzeba było wyrobić dzienną normę, bo inaczej zwalniano. Słowem cały dzień praca w ogromnym tempie! Akord! Do pracy i z pracy leciało się biegiem, bo mróz był poniżej 20°C. A codziennie przebiegałam w pośpiechu około dwadzieścia kilometrów, tyle bowiem było kilometrów w obie strony, z Wroniej na ul. Hołówki, gdzie mieszkałam. Bo trzeba się było zmieścić między godzinami policyjnymi.

Otóż kiedyś podczas powrotu do domu z cennym bochenkiem chleba usłyszałam śpiew niemieckiego oddziału powracającego do koszar przy ul. 11 listopada. Coraz bardziej zbliżał się do mnie ten śpiew:

- Heili, heila!

Przyspieszyłam kroku, aby się nie spotkać z niemieckimi żołnierzami, ale niestety u wylotu Agrykoli i Myśliwieckiej nasze drogi się zbiegły.

Szli chodnikiem, w nieładzie. Jeden z nich zauważył mój chleb i chcąc mi go odebrać, zaczął droczyć się ze mną. Inni śmiali się z niego i dogadywali, że jest niezręczny. Szarpałam się z żołnierzem, mocno trzymając swój chleb, i tak doszliśmy do bramy koszar.

Oficer szedł pierwszy, za nim inni. Żołnierz coraz natrętniej usiłował mi wyrwać chleb. Ja jednak poczułam się dotknięta do żywego, bo jakim prawem chcą mi odebrać ciężko zapracowany chleb, więc uderzyłam go z całej siły w policzek. Nastąpiła konsternacja... Jedni z oburzeniem nazwali mnie:

- Polnische Schw...

A drudzy ze śmiechem wołali:

- Dobrze mu tak! cha! cha! cha!

Wartownik w ciemnościach nie zauważył tej sceny, tylko głośno wołał:

- Schnell nach Hause!

A ja, korzystając z sytuacji, wymknęłam się w ciemności tej ulicy. Nikt mnie na szczęście nie gonił.

Wpadłam do domu zdyszana i opowiadam, w jaki sposób udało mi się obronić nasz chleb. Mama z przerażeniem mówi:

- Ty jesteś szalona! Przecież on miał prawo cię zastrzelić za tę zniewagę, bo był uzbrojony.

- Tak, mógł - odpowiedziałam - ale czy ten chleb był mu potrzebny do zwycięstwa?

## *Łapanka*

Pewnego dnia w godzinach południowych znalazłam się na placu Trzech Krzyży, gdy nagle spostrzegłam, że zjeżdżają się niemieckie budy i zamykają wyjścia ulic. A więc łapanka! Zaroilo się od niemieckich mundurów i zaczęli łapać spokojnych przechodniów, wpychając ich siłą do aresztanckich aut.

Stałam przy Instytucie Głuchoniemych i na ten widok pobiegłam szybko na tyły budynku. Był tam ogród, a w nim starszy pan (ogrodnik). Kiedy zorientował się, co się dzieje na placu, szybko ukrył mnie między inspektowe ramy. Przesiedziałam tam około dwóch godzin w ogromnym napięciu, zastanawiając się czy Niemcy zauważyli, że tu uciekałam. Ogrodnik cały czas czuwał, a kiedy już było po wszystkim, uwolnił mnie z ukrycia. Pojechałam tramwajem do domu i natychmiast wzięłam się do rozpalania

w piecu kuchennym, aby coś ugotować. Nie było czasu, żeby się nad sobą roztkliwiać. Ale okropnie z pieca dymiło i poczułam, że się duszę, zaczęłam czuć się bardzo źle. Patrząc do lustra i z trudem mogąc poznać swoją twarz, tak bardzo jestem zapuchnięta, że z wielkim trudem mogę patrzeć. Mama wróciła z miasta i od progu woła:

- Co tu tyle dymu? Gdzie jesteś? O, Boże! Jak ty wyglądasz? Jesteś cała zapuchnięta, wyjdź czym prędzej na podwórko!

Wybiegłam z domu i z pośpiechem udałam się do naszego sąsiada z bloku, który był studentem V roku medycyny. Nigdy przedtem nie rozmawialiśmy, ale teraz na mój widok zawołał:

- Co się stało?

- Przestraszyłam się łapanki - mówię.

Odpowiedział mi:

- Zaraz pomogę.

Potem parokrotnie przestrzykiwał mi krew z ręki do nogi - i pomogło! Byłam mu bardzo wdzięczna, tym bardziej że zrobił to zupełnie bezinteresownie. Wtedy wszyscy wspomagaliśmy się jak w jednej rodzinie.

A Mama nigdy nie dowiedziała się, jaki był naprawdę powód mego zapuchnięcia. Dosyć miała innych ciężkich przeżyć.

### *Węgiel z Pruszkowa*

Zima 1940 r. była bardzo ciężka. Brakowało opału, nie było nawet na ogrzanie jednego pomieszczenia. Zdecydowałam, że przywiozę węgiel z Pruszkowa, gdzie chwilowo pracowałam na kolei. Węgiel był towarem reglamentowanym przez Niemców i za jego kradzież groziła śmierć. Polacy jednak z narażeniem życia wykradali go w nocy z transportów czekających na przeładunek do Warszawy. Wagony były pilnowane przez uzbrojonych Niemców. Zdobyczym węglem załadowałam małą walizkę, i mimo ogromnego ciężaru, niosąc ją, udawałam, że jest lekka. Gdy już miałam przejść przez punkt kontrolny na Dworcu Głównym w Warszawie, zrobiło się jakieś zamieszanie, kogoś zaaresztowano, a ja w tym czasie prześlizgnęłam się między wartownikami, unosząc swój cenny skarb. W domu, kiedy Mama dowiedziała się o wszystkim, zabroniła mi dalej pracować w Pruszkowie.

Okupacja trwała, a warunki bytowania stawały się coraz trudniejsze. Czułam się odpowiedzialna za chorą Mamę i młodszą siostrę Elżunię. Była zima 1941 r. Nauczyłam się pobierać prąd elektryczny poza licznikiem i w ten sposób mogłyśmy ogrzewać kuchnię. Było to oczywiście zabronione przez Niemców.

### *Inkasent*

Pewnego dnia przez wielką nieostrożność wpuściłam do domu inkasenta, a tymczasem licznik nie był na swoim miejscu, czyli na tarczy.

Inkasent wszedł bez słowa do kuchni, usiadł przy stole i wypisuje rachunek za światło. Ja zaś stoję przy rozpalonym elektrycznym piecyku, którego w żaden sposób nie da się ukryć! W kuchni suszy się bielizna, i jest bardzo ciepło. Zaniemówiłam z wrażenia. Zostałam złapana na gorącym uczynku przez inkasenta. Co teraz będzie? Ma on pełne

prawo zadenuncjować nas do władz niemieckich. Tymczasem inkasent wychodzi bez słowa, a ja od tej chwili w dzień i w nocy oczekuję aresztowania – i nie tylko mnie...

Nie mówię jednak o tym wydarzeniu ani Mamie, ani siostrze, bo po co mają się denerwować!

Mija miesiąc tej męki. Przyszedł inny inkasent. Tym razem wszystko było według przepisów; licznik był na swoim miejscu. Oczekiwałam jakiejś uwagi, ale on milczał. Po dwóch miesiącach mignął mi w tłumie na Nowym Świecie ten poprzedni inkasent. A więc był to dobry Polak, bo nie doniósł na nas Niemcom. Dopiero teraz opowiedziałam wszystko Mamie. A ona na to:

– Dziecko kochane, i ty się z tym sama męczyłaś – trzeba było nam powiedzieć...

## *Kocioł*

Po południu wracałam z mamą z cmentarza Czerniakowskiego – od grobu siostry Marty. Szłyśmy ulicą Czerniakowską. Gdy mijaliśmy znajomy sklepik spożywczy, mama mówi:

– Idź i kup drożdży, to upiekę chleb, bo już nie mamy, a ja tymczasem wszystko przygotowuję.

– Dobrze – odpowiadam i po chwili wchodzę do bramy, bo od frontu było zamknięte. Nagle widzę przed sobą Niemca; próbuję się wycofać, ale on popycha mnie już do wnętrza. Wpadam – a tu przy stole siedzi już kilka osób pilnowanych przez uzbrojonego Niemca. A więc to kocioł!

Sprzedawczyni ostrym głosem pyta:

– Po coś przyszła?

Odpowiadam, że:

– Chciałam kupić drożdże,

– To teraz posiedzisz!

Wszyscy chcieli tylko coś kupić i zostali złapani. Każdy z przerażeniem myśli, co też z tego będzie? Czy nas zaaresztują?

Do tego kotła wpadli jeszcze inni, tak, że przed godziną policyjną było nas już kilkanaście osób. Przyszli jacyś jeszcze inni Niemcy i padł krótki rozkaz:

– Raus nach Hause! Schnell!

Rozbiegliśmy się bez słowa. Widocznie nie było tych, na których był urządzony ten kocioł – ostrzeżono ich. Dzięki Bogu, że tak się skończyło. Wpadłam zdyszana do domu, a Mama mówi:

– Ciebie to tylko po śmierć posłać! Daj te drożdże!

– Mamusiu, ja nie mam drożdży, siedziałam w kotle, dobrze, że nas wypuścili...

A Mama na to:

– O, Boże, dziecko kochane, przepraszam cię, ty byłaś w takim niebezpieczeństwie, a ja się na ciebie tak denerwowałam!

## *Na stacji Boża Wola*

Brakowało również jedzenia. Za zgodą Mamy i siostry zaryzykowałam podróż do koleżanki Emilki Chabowskiej, której rodzice mieli dobrze zagospodarowany majątek

niedaleko Łowicza i zawsze ofiarnie wspierali potrzebujących. Podróż była jednak niebezpieczna, bo wszędzie były łapanki i aresztowania, szczególnie szmuglerów. W tamtą stronę dojechałam szczęśliwie; państwo Chabowscy przyjęli mnie bardzo życzliwie i hojnie obdarowali żywnością. Z naładowaną walizką odwieziono mnie do stacji i ulokowano w pociągu.

W drodze, na stacji Boża Wola, pociąg miał awarię i trzeba było odczepić część wagonów. Pasażerowie, w większości szmuglerzy, szybko przesiedli się do pozostałej części pociągu. Ja jednak nie mogłam udźwignąć walizki i ciągnęłam ją po peronie, prosząc o pomoc. Tak dobrnęłam do pierwszego wagonu. Maszynista wychylił się z lokomotywy i krzyczy na mnie: „Prędej, bo odjeżdżamy!”, a ja stoję bezradnie i patrzę z przerażeniem na napis na wagonie: „Nur für Deutsche” [Tylko dla Niemców]. Z wagonu wyskoczył Niemiec i wciągnął z trudem moją walizkę, a potem i mnie. Pociąg ruszył.

W przedziale siedziało kilku żołnierzy w mundurach Wehrmachtu. Gdy dowiedzieli się, że jestem Polką, jedni chcieli mnie wyrzucić z pociągu w biegu, ale walizkę zostawić, drudzy twierdzili, że przecież oni sami wciągnęli mnie, ja o to nie prosiłam. Sprzeczka stawała się coraz ostrzejsza. Z sąsiedniego przedziału wszedł oficer i spytał o powód kłótni. Wskazali na mnie. Zażądał mojego dowodu, obejrzał, oddał mi i pozwolił zostać.

Do końca podróży oficer ten pozostał z nami i prowadził rozmowę na temat działań wojennych aliantów. Żołnierze byli przejęci tymi wiadomościami. A ja przez całą drogę ścisnęłam w rękę różaniec i błagałam Matkę Bożą o ratunek. Z lękiem myślałam o tym, co będzie na Dworcu Głównym.

Gdy dojechalismy, oficer rozkazał żołnierzom nieść moją walizkę; i tak otoczona tym oddziałem przeszłam przez punkt kontrolny nie zatrzymywana przez nikogo. Żołnierz zaniósł moją walizkę aż do przystanku w Al. Jerozolimskich i skłoniwszy się lekko, oddalił się. Byłam oszołomiona tą niezwykłą sytuacją, bo tylko dzięki opiece Matki Bożej szczęśliwie dotarłam do domu, z bardzo cenną żywnością.

### *„Puść, to nasza!”*

Jak już wspominałam, moja Mama zgłosiła się od początku okupacji dobrowolnie do Zarządu Rady Głównej Opiekuńczej, aby przydzielono jej jakąś pracę społeczną. Skierowano ją do stołówki dla najbiedniejszych przy ul. Przemysłowej. Mama robiła sprawozdanie z wykorzystania produktów i liczby wydanych porcji. Gotowano tam zupełnie w ogromnych kotłach, rozdawano ją raz dziennie w liczbie około 900 porcji. Zainteresowani ustawiali się w kolejce już parę godzin wcześniej. Byli to przeważnie ludzie pozbawieni pracy oraz ich rodziny. Często tam przychodziłam, aby pomagać Mamie sporządzać sprawozdania, a gotowe zanosila na ul. Książęcą do centrali. Trwało to przeszło pół roku.

Kiedy włączyliśmy się do pracy konspiracyjnej AK, wtedy zrezygnowaliśmy z dalszej współpracy w tym punkcie żywienia.

W 1943 r. w styczniu – po aresztowaniu Elżuni, a wkrótce potem mamy – schroniłam się do gimnazjum Sióstr Nazaretanek przy ul. Czerniakowskiej. Opowiedziałam siostrze dyrektor Ezechiel Szupenko o tym, co nas spotkało. Siostra zaryzykowała i schowała mnie za klauzurą sióstr. Wkrótce jednak, aby ich nie narażać, sama przeniosłam się gdzie

indziej. Chciałam jednak wiedzieć, co dzieje się w naszym mieszkaniu, a może jest jakaś wiadomość o Mamie...

Nasz dozorca, p. Jan Kozłowski, doskonale się we wszystkim orientował, bo czuwał bardzo ofiarnie nad bezpieczeństwem lokatorów tego dużego bloku przy ul. Hołównki 3.

Kiedyś, w pełnym zmroku, gdy domy i ulice były już zaciemnione, wybrałam się na ul. Czerniakowską do sióstr. Idę po cichutku, nie stukając obcasami, środkiem jezdni. Nie spotykam nikogo. Kiedy dochodzę już do ul. Przemysłowej, doskakuje do mnie dwóch mężczyzn. Jeden chwyta mnie mocno w pasie, tak że ani krzyknąć, ani nawet złapać oddechu nie mogę, i przykłada mi do skroni z prawej strony rewolwer. Drugi świeci mi w oczy latarką z lewej mej strony, całkowicie mnie oślepiając, i przerażonym głosem mówi:

– Puść, to nasza!

I w jednej chwili znikli w ciemnościach ulicy.

– Boże, dzięki Ci! Żyję!

I lecę szybko do sióstr nazaretanek. Przejęta, opowiadam im o tym śmiertelnym zagrożeniu, a one jednogłośnie mówią:

– Pan Bóg cię uratował, idź podziękuj Mu!

Poszłam i serdecznie podziękowałam Bogu za kolejne uratowanie mnie od śmierci. A jednocześnie myślałam: Więc to miał być wyrok na konfidentkę! Ale skąd oni mnie znali? Może z tej ubogiej garkuchni?

### *Dziecko z getta*

Przy ul. Chocimskiej mieszkała serdeczna znajoma mojej Mamy, pani Stanisława Zabielska. Gdy Niemcy zajęli tę ulicę dla siebie, przeniesiono ją na ul. Sienną 85. Często bywałam u niej, bo wspólne były nasze losy. Mąż jej, kapitan Wojska Polskiego, był w obozie w Starobielsku, tak jak i nasz ojciec. Dzieliliśmy się wiadomościami i wspierałyśmy w chwilach najcięższych przeżyć.

Po aresztowaniu Elżbiety, najmłodszej z sióstr (w styczniu 1943), a potem Mamy, do końca wojny musiałam się ukrywać. Nie miałam jeszcze lewych papierów, znajomi znajomym przekazywali mnie, abym mogła nocować ciągle w innym miejscu. Kiedy poszłam do pani Zabielskiej, aby przyjęła mnie do siebie, uczyniła to z wielką serdecznością i przez miesiąc prawie tu byłam. Było to jednak dla niej wielce niebezpieczne, bo gestapo usilnie mnie poszukiwało, a ja nie miałam jeszcze nowego dowodu osobistego.

Pani Stanisława była bardzo odważna, bo oprócz mnie miała jeszcze u siebie niemowlę z getta, chłopczyka, który nie był jeszcze obrzezany. Jego ojciec był adwokatem i odwiedził go dwukrotnie, w czasie gdy i ja tam mieszkałam. Nie zapomnę nigdy jego smutnych oczu, jakimi patrzył na synka.

Dziecko rozwijało się bardzo pięknie. Czuwałam nad nim stale w czasie mojego tam pobytu. W nocy, kiedy należało mu zmienić pieluszki – dawał mi znak tylko cichym kwileniem, jakby czuł, że jest w nieustannym niebezpieczeństwie, bo pod naszymi oknami stała niemiecka warta, aby uniemożliwić ucieczkę z getta.

Pewnego dnia Niemcy sprawdzali, kto tu mieszka; wtedy pani Stanisława, osoba młoda, powiedziała zdecydowanie i stanowczo, że jest to jej dziecko. Uwierzili. Po tej

wizycie nie mogłam już dłużej narażać jej na niebezpieczeństwo i przenieśliśmy się w inne, bezpieczniejsze miejsce, czyli do lokalu przy ul. Filtrowej.

## *Rewizja*

Znalazłam się u obcych ludzi, trzy pokoje na pierwszym piętrze. „O trzeciej w nocy gwałtowne dobijanie się do drzwi frontowych. Rewizja! Zamarłam: nie miałam żadnego dowodu, a na dodatek przy sobie miałam gryps od Mamy z Pawiaka. Według zaleceń najlepiej go połknąć. Czuję, że język mi skamieniał i sucho w ustach, więc... zakopałam gryps w doniczkę, wyrównałam ziemię i czekam... na śmierć czekam. Trwało to ponad godzinę. Hałas, wrzaski Niemców w sąsiednich pokojach, przewracanie mebli, wyciąganie szuflad. „Mój” pokój ma oszklone drzwi. Już słyszę głosy w przedpokoju, tuż, tuż, obok i... o dziwo! – wychodzą.

Doczekałam końca godziny policyjnej i wyszłam, czując, jakbym wychodziła z paszczy lwa. Łaska Boska!...

## *„To jest Ciało Moje...”*

Lato 1943 r. Niespodziewanie na Krakowskim Przedmieściu, w pobliżu kościoła św. Anny, zaskoczyła mnie łapanka. Stoją budy, pełno gestapowców. Zgarniają pieszych. Zatrzymują tramwaje. Mam – wyjątkowo – dokumenty na prawdziwe nazwisko, a Mama jeszcze jest na Pawiaku. Nie mogę dać się złapać. Doszłoby do straszliwej konfrontacji. Wskoczyłam z tramwaju i biegnę do kościoła. Za mną Niemiec krzyczy:

– Halt!

Wpadłam do bocznej nawy i skryłam się za jakąś figurką przy ołtarzu tak, że tylko głowa mi wystawała.

Trwała właśnie Msza św. i było podniesienie. Na moje gwałtowne wtargnięcie i głos Niemca ludzie skryli się pod ławkami. Kapłan – widząc, co się dzieje – trzyma Hostię wysoko i milczy. Czekają. Niemiec z wyciągniętym do strzału rewolwerem stoi na środku i celuje w moją stronę. Przerażliwa cisza przedłuża się; kapłan nie opuszcza Hostii, Niemiec mierzy we mnie, a ja nie mam gdzie głowy schować i czuję się z przerażenia tak skamieniała, jak ta figura, za którą stoję...

Trwało to dłuższą chwilę, aż Niemiec – widząc, że ksiądz czeka – bełkocząc coś, wycofał się wolno tyłem, z wyciągniętą ręką do strzału. Ksiądz opuścił Hostię, ministrant leżący u stóp ołtarza ukląkł i zadzwonił na dalszą część przeistoczenia. Wierni podnieśli się spod ławek...

Niestety, nie podziękowałam temu odważnemu kapłanowi. Byłam zbyt zszokowana.

## *Słyszałam głosy*

Na rok przed Powstaniem słyszałam jakieś głosy: „Patrz, tutaj, tego nie będzie, tej ulicy!... Tego miasta nie będzie! Tu będzie strasznie!”

Był to tak mocny głos, jakby ktoś mówił obok, to było coś, co mnie przenikało. Patrzyłam na innych, czy oni to słyszą. Kiedy doszłam do Starego Miasta i weszłam do katedry, czułam, jakbym się paliła. „Patrz, tu wszystko będzie zniszczone, tu niczego nie

będzie!” Wyszłam przerażona. Powtarzało się to raz po raz. Najczęściej, gdy byłam na Starym Mieście. Nikomu tego nie mówiłam, aż dopiero po wojnie księdzu na spowiedzi”<sup>29</sup>.

### *Grypsy i paczki*

Mama jest ciągle na Pawiaku, w izolatce albo w szpitaliku więziennym. Po badaniach gestapo w alei Szucha jest krańcowo wyczerpana nerwowo, ale się nie załamuje. Staram się zrobić paczkę żywnościową i próbuję ją przesłać przez koleżankę z gimnazjum Sióstr Nazaretanek, Zosię Paszkowską.

Paczki dla więźniów przyjmowane są przy ul. Krochmalnej. Kochana Zosia robiła to bardzo chętnie, bo ogromnie lubiła moją Mamę, ale narażała się bardzo, ponieważ mogli zatrzymać ją jako zakładniczkę za mnie. Przesyłałam też Mamie grypsy (listy) przez panią Tarachową, która była pracownikiem Pawiaka. Ona również robiła to z narażeniem życia.

Rzadko, ale zdarzało się, że i ja stawałam w kolejce na Krochmalnej, aby przekazać Mamie paczkę z odpowiednio zdezynfekowaną bielizną. Stało się tam czasem i do dwóch godzin, bo tyle było osób zainteresowanych swoimi uwięzionymi. Paczki przyjmował znany z okropnego podejścia do ludzi gestapowiec. Doskonale go pamiętam. Przyjmował paczkę i podawał ją dwóm więźniarkom z Czerwonego Krzyża. Był to dla mnie cud Opatrzności Bożej, ponieważ wychodziłam stamtąd, mimo że gestapo stale mnie poszukiwało. Po prostu nie sprawdzano moich personaliów, a jeszcze wówczas nie miałam dowodu z innym nazwiskiem. Działo się tak zapewne dlatego, że Niemcy byli służbistami, a ten gestapowiec nie miał odpowiedniego rozkazu!

### *Polowanie*

Kiedyś pracowałam w nocy u znajomych przy wypieku ciastek. Było lato 1943 r. Okna były szczelnie zamknięte, ponieważ obowiązywało zaciemnienie. Nie można było hałasować, wyciągając blaszki z gorącego gazowego pieca. Pracowałam w ciągłym pośpiechu, bo musiałam wyrobić określoną ilość produktów. Rano, po godzinie siódmej, wracałam do domu najczęściej pieszo, żeby pooddychać świeżym powietrzem. Szłam od al. Niepodległości przez Marszałkowską do Ludnej.

Pewnego razu zdarzyło mi się, że zatrzymał mnie granatowy policjant i mówi, że jestem Żydówką i uciekłam z getta, w związku z czym zaprowadzi mnie do IV Komisariatu. Ogromnie tym zaskoczona tłumaczę mu, że nie jestem Żydówką, a w głębi serca jestem przerażona, ponieważ mam przy sobie dowód na Ilonę Korompay! Przecież nie mogę wpaść w ręce gestapo! Na moje szczęście on nie wiedział zapewne, jaką to poszukiwaną rybkę udało mu się niechcący złowić! Zaczęłam więc niewinny flirt z tym policjantem. Chodząc z nim po ulicach wypatruję odpowiedniej bramy, gdzie mogłabym schować mój dowód. Zwracam na siebie uwagę przechodniów, chodzimy już prawie godzinę. Wreszcie policjant daje mi wyraźnie do zrozumienia, że mogę się wykupić od niego za pieniądze. Trochę się jeszcze certowałam, bo przecież muszę wejść do bramy, aby je wyciągnąć z ukrycia na piersi.

---

<sup>29</sup> Ibidem, Na straconej..., s. 82-84



On więc stanął przed bramą, a ja szybko wcisnęłam w szparę mój dowód i wyszłam do niego, teraz już bezimienna. Smutnym głosem przeprosiłam go, że niestety, ale dziś nie wzięłam pieniędzy ze sobą; więc trudno, musimy iść do tego komisariatu. Na te słowa drgnął i mówi:

- Chodźmy!

Idziemy znów w kierunku Marszałkowskiej, ale w pewnym momencie mówi do mnie:

- Proszę tu poczekać, muszę wejść na moment do tej bramy.

A ja tylko na to czekałam. Gdy wszedł w bramę, ja czmychnęłam czym prędzej i jak strzała pomknęłam w kierunku placu Trzech Krzyży. Tam dopiero zwolniłam biegu.

W domu przebrałam się i po dwóch godzinach poszłam po mój dowód osobisty, który ukryłam w bramie przy ul. Wspólnej. Odnalazłam go i wróciłam do domu. Całe to zajście zgłosiłam członkom AK. Polecono mi przyjść przed godziną ósmą rano do IV Komisariatu, który obejmował ulice mojego wczorajszego „spaceru”. Przez uchylone drzwi widziałam wszystkich policjantów wychodzących z ранней służbowej odprawy.

Jego jednak nie było. To znaczy, że był z innego rewiru, a tu robił takie polowania na własną rękę. Pewnie dlatego zrezygnował z wizyty w komisariacie.

### *Halina Wicińska*

Był rok 1943. Jak już wspominałam, musiałam stale się ukrywać, ponieważ dwoje niemieckich agentów poszukiwało również i mnie. Dzięki pomocy członków AK oferowano mi coraz to nowe lokum, gdzie mogłam przenocować, oraz ofiarowano pieniądze konieczne do przeżycia. Byłam spalona ze względu na mój dowód oraz kartę pracy, dlatego mogłam pracować tylko chałupniczo i w prywatnych gospodarstwach. W połowie tegoż roku otrzymałam dowód osobisty z nową tożsamością na nazwisko Halina Wicińska.

Teraz mogłam skorzystać z cennego zaproszenia mojej szkolnej koleżanki Krystyny Lekczyńskiej i jej ojca, aby zamieszkać w ich domu PKO, na rogu Ludnej i ul. Okrąg. Pan Lucjan Lekczyński był przed wojną prezesem w banku PKO przy ul. Jasnej, a teraz został administratorem tego domu. Przyjęta zostałam przez nich z wielką życzliwością, chociaż przyjmując mnie, bardzo dużo ryzykowali, bo przecież nadal byłam poszukiwana przez gestapo. Ten dom był zajęty przez oficerów Wehrmachtu, którzy czekali na rozkazy swego dowództwa. Ukrywałam się więc w wilczej jamie, ale pod płaszczem Maryi.

„Ponieważ miałam już inne nazwisko, za radą członków AK obmyśliłam do niego nową historię mego życia i odważnie jako Wicińska poszłam szukać pracy w fabryce obuwia przy ul. Rakowieckiej, która była pod zarządem niemieckim. Tu pracując, miałabym kartę pracy, a ta chroniłaby mnie przed łapankami i aresztowaniem. Bardzo źle się czułam. Byłam na badaniach i lekarz mówi:

- Proszę pani, niech pani idzie na EKG.

Poszłam.

- Ile pani ma lat? - pyta lekarka.

- Dwadzieścia dwa.

- Przecież pani ma stan agonalny! Jakim sposobem pani tu doszła?!

Trwało to ze trzy dni. Potem poczułam się lepiej, powoli to się cofało i właśnie wtedy otrzymałam wiadomość, że Mama nie żyje...”<sup>30</sup>

Kierownik działu personalnego polecił mi napisać życiorys. Szybko napisałam i czekałam na decyzję. Po chwili tenże kierownik, zainteresowany moim losem, zaproponował mi opiekę wywiadu niemieckiego w odnalezieniu moich zaginionych rodziców, o których napisałam, że zaginęli w czasie I wojny światowej na wschodzie Polski. Odmówiłam; co go bardzo uraziło, że nie chcę skorzystać z jego cennej oferty. Zostałam jednak przyjęta i miałam kartę pracy.

Pracowałam na sali wraz z dwudziestoma kilkoma wykwalifikowanymi starymi, przedwojennymi szwaczkami. Szyły skórzane przyszwę (wierzchnia część buta) do czterech różnych fasonów obuwia. Ja czuwałam nad przebiegiem pracy. Dostawałyśmy bezpłatne obiady i 2 pary butów w ciągu roku. Pracowało mi się dobrze. Latem 1944 r. zauważyłam poważny błąd techniczny, który udało się zaraz usunąć. Wspomniany wyżej kierownik chciał mnie wynagrodzić i zaproponował, tym razem bliską współpracę z nim. „O, Boże! Miałabym zostać konfidentką? Matko Boża, ratuj mnie!” Z trudem wymówiłam się od tego „wyróżnienia”, a on od tej pory był w stosunku do mnie bardzo oficjalny i służbowy! On sam był kapusiem na terenie fabryki. To był Ukrainiec.

### *Mama mnie ostrzegła*

„Przez jakiś czas, już jako Halina Wicińska, ukrywałam się przy Ludnej, róg ul. Okrąg. Dom był zajęty przez Niemców, tylko administrator był Polakiem. Miałam coś załatwić na mieście, postanowiłam wyjść, mimo że były łapanki. W nocy śniła mi się matka, podchodzi do mnie, pokazuje Niemca, rudego, piegowatego żołnierza Wehrmachtu, i mówi: «Do tego Niemca podejdiesz!» Obudziłam się, o śnie zapomniałam i wyszłam na miasto.

Zjeżdżam na Solec. Zatrzymano tramwaj i wszystkich wyrzucono na bruk. Cały plac obstawiony. Rozglądam się, patrzę: stoi rudy Niemiec ze snu! Podchodzę, pokazuję kenkartę. Spojrzał na mnie, na kenkartę i jeszcze raz na mnie i... przepuścił.

Wychodząc z tego kotła, czułam na sobie spojrzenia wszystkich. I w każdej chwili czekałam na strzał...”<sup>31</sup>

### *Sąsiad Kamil Baczyński*

„Nasza sąsiadka, pani Emilia Osiecka, pamięta, że pod numerem 81 w tej samej klatce, co my, mieszkał Krzysztof Kamil Baczyński z żoną Basią oraz że Krzysztof bywał u nas. Ale my mówiłyśmy sobie: «Lepiej ich nie znać, bo w razie konfrontacji...» I unikałyśmy kontaktów.

Ciągle przychodzili do niego jacyś młodzi ludzie. Wiedziałam tyle, że pisze wiersze. Często widywałam go na schodach. Kiedy kaszłał, wychodził z mieszkania i dusił się w szalik. Myślałam, że może jest chory na płuca. Nie wiedziałam, że miał astmę. Zawsze mnie to wzruszało, że on tak z domu wychodzi i kaszle na schodach, żeby nie robić

---

<sup>30</sup> Idem, *Dom...*, s. 87

<sup>31</sup> Ibidem, s. 83

w domu hałasu. Ciągłe, nawet w lecie, chodził w szalu owiniętym wokół szyi. Pamiętam, jak kiedyś chciał mnie wyminąć, zaczepił tym szalem o poręcz schodów i potknął się okropnie”<sup>32</sup>.

W czasie Powstania poszedł do akcji i już nigdy więcej go nie widzieliśmy. Zginął 4 sierpnia 1944 r. w walce na placu Teatralnym.

## ROZDZIAŁ V: POWSTANIE WARSZAWSKIE 1944

---

Wojna trwa już 5. rok. Dłużej już żyć nie można w tym nieustannym napięciu i męczeństwie. Zaczęliśmy przygotowywać się do ostatecznej rozprawy z okupantem. Atmosfera stawała się coraz bardziej napięta; Niemcy coraz częściej urządzali zbiorowe egzekucje uliczne. Młodzież była w pełnym pogotowiu bojowym.

Wraz z koleżanką Wandą Zaborowską, fachową pielęgniarką i instruktorką w AK, zgłosiłam się po przydział do mającej się rozpocząć akcji. Pan porucznik wyznaczył mi bazę pielęgniarską na Mokotowie. Spostrzegł jednak, że kuleję z powodu guza na stopie. Rozkazał go natychmiast operować. Zrobiono mi ten zabieg w filii szpitala Świętego Ducha na Krakowskim Przedmieściu. Z głęboką raną pokuśtykałam do domu na ul. Ludną. Na Mokotów w końcu nie poszłam, zostałam tutaj z gorączką i chorą nogą.

Po paru dniach odwiedziła mnie koleżanka Jadwiga Jełowicka i kiedy już miała wrócić do domu o godzinie siedemnastej (był to 1 sierpnia 1944 r.), usłyszałyśmy odgłosy detonacji i działań wojennych, które coraz bardziej się nasilały. A więc to już POWSTANIE. Boże, pomóż nam!

Dopiero po dziesięciu dniach Jadwisia mogła wrócić do domu, gdy przebito przejścia przez piwnice, dzięki którym powstały podziemne korytarze pod całym miastem.

### *Krowa*

Piwnice domu PKO przy ul. Ludnej były bardzo głęboko pod ziemią. Schodziło się do nich po wielu wysokich schodach. Był to prawdziwy labirynt piwnic, który coraz gęściej zapełniał się zmaltretowaną ludnością. A powietrze było aż gęste! Różne też były tam sytuacje.

Ranni i chorzy wymagali opieki lekarskiej, której niestety nie było. Były też kobiety w zaawansowanej ciąży i musiały rodzić w tych anormalnych warunkach. Przede wszystkim brakowało wody i opatrunków. Bardzo przydatna była bielizna pościelowa, którą darło się na opatrunki. Odważniejsi wymykali się z piwnicy do swoich mieszkań, aby przynieść konieczne rzeczy. Często wymykały się nawet podczas nalotów czy ataków wroga, który stosował tak zwane krowy. Były to pociski rozpryskujące się. Nieustannie drżały mury od takich detonacji.

Ja także wychodziłam do naszego mieszkania, aby coś przynieść, najczęściej ciepłe ubrania i pończochy dla dziewcząt z oddziału „Zośka”.

---

<sup>32</sup> Idem, Na straconej, s. 97

Nocne i ranne chłody mocno dawały im się we znaki, gdy były na warcie. Wspomagaliśmy się wzajemnie i wszystko było wspólne. Modliliśmy się, aby nie być pogrzebanym żywcem. Podczas jednej z takich wypraw do mieszkania stałam przy oknie w kuchni i widzę, jak zapalony pocisk leci w moją stronę i za moment rozprysnie się w kuchni.

– Boże, ratuj!

Pocisk uderza w rynnę obok i zsuwa się po niej, sycząc okropnie. Byłam bardzo wstrząśnięta, bo znów ominęła mnie śmierć. To było dla mnie kolejne cudowne ocalenie.

Kiedy Niemcy opuścili nasz dom, stał się on wkrótce twierdzą dla powstańców. W piwnicach chroniła się ludność z okolicznych domów zdobytych już przez Niemców. Ofiarnie współpracowali z powstańcami, na przykład gasili pożary wzniecane przez pociski, szczególnie na dachu.

Pamiętam Węgra, adwokata z Budapesztu, który uratował się z getta warszawskiego i wraz z dziesięcioletnim Witusiem odważnie podpalał czołgi niemieckie butelkami z benzyną. Obydwaj zginęli w takiej akcji.

Nie udało się jednak utrzymać tej twierdzy i powstańcy musieli wycofać się na ul. Wilanowską. Teraz po długim, nieustannym bombardowaniu zaległa złowroga cisza. Niemcy czołgami sforsowali bramę wjazdową i zarządzili natychmiastową i całkowitą ewakuację. Z białą flagą wyszli jako pierwsi administrator z córką Krysią, potem jego sąsiedzi, którzy mieli śliczną córkę, i ja. Woleliśmy wyjść niż być żywcem spaleni w piwnicach – bo tak najczęściej robili Niemcy.

### *Obrazek Serca Pana Jezusa*

Był 17 września 1944 r.

Ewakuowali nas pijani Ukraińcy, własowcy w niemieckich mundurach. Czołgi stały w pogotowiu, aby zmiążyć opornych. W śmiertelnym strachu wychodziliśmy z domu. Oficer własowiec spostrzegł jedną piękną dziewczynę i oddzielił naszą grupę, to jest 6 osób, z całego konwoju i zaprowadził do mieszkania w wypalonym domu przy ul. Kościuszki obok szpitala PCK na Solcu. Tu rozkazał na siebie czekać. Przyszedł dopiero w nocy, wezwał tę młodą dziewczynę do pokoju. Boże, ratuj ją, modliliśmy się gorąco. Po chwili wyszła, dając znak, że udało się. Kolejno wchodzili inni na krótką chwilę i milcząc, wychodzili.

Byłam na końcu. Weszłam do zrujnowanego pokoju. Kiedyś musiała to być piękna biblioteka. Oficer siedział przy biurku, na którym kopcila się świeczka. Zażądał dowodu osobistego. Podałam dowód na nazwisko Ilona Korompay, bo dowód na Halinę Wicińską świadomie zostawiłam w piwnicy. W dowodzie miałam obrazek Serca Pana Jezusa, a on długo mu się przyglądał, jakby



sobie chciał coś przypomnieć. Spojrzał na mnie uważnie, oddał dowód i obrazek i kazał mi wyjść. Po chwili odszedł od nas bez słowa.

Pozostaliśmy sami w tym domu do rana. Towarzysze moi spytali mnie:

– Ile mu dałaś? Co mu dałaś za uwolnienie?

A ja zdziwiona mówiłam:

– Nic mu nie dałam, bo mnie o nic nie pytał.

– Kłamiesz, nie chcesz się przyznać. My daliśmy mu dolary i złoto.

Pomyślałam, że mam dwie ślubne złote obrączki rodziców, i dałabym mu, ale przecież milczał.

To dzięki łasce Serca Pana Jezusa zostałam uwolniona, i to bez okupu. Doczekały szczęśliwego zakończenia wojny i złożyłam je na odbudowę kościoła św. Andrzeja Boboli przy ul. Rakowieckiej w Warszawie. Obrazek mam przy sobie do tej pory, zamieszczam go obok.

### *„Muszę na was krzyknąć”*

Rano poszłam do szpitala, gdzie dowiedziałam się, że tę ładną dziewczynę razem z rodzicami odwieziono karetką sanitarną do Łodzi. Ukraińiec dotrzymał zobowiązania. Zostali uratowani. A my, pozostała trójka, ruszyliśmy w drogę przez spalone, całkowicie zniszczone miasto w kierunku Pruszkowa, gdzie koncentrowano ludność cywilną, a po selekcji odtransportowywano do obozów koncentracyjnych lub obozów pracy albo po prostu rozstrzeliwano.

Ojciec Krysi był ciężko chory. Z najwyższym wysiłkiem szedł wsparty na nas. Ciągłe się potykaliśmy w zagruzowanym terenie. Wypalone domy sprawiały okropne wrażenie, wszędzie pusto, ludzi nie ma. Nigdzie nawet śladu trawki czy zielonego listka na drzewie. Tylko czerwona cegła piekła w oczy; zdawało mi się, że słyszę, jak jęczy i ocieka krwią ofiar...

Gdy minęliśmy plac Piłsudskiego i znaleźliśmy się na ul. Elektoralnej, nagle usłyszeliśmy silny warkot nadlatujących samolotów. Były to samoloty alianckie, które rzuciły upragnioną amunicję. Niestety, większość spadła na teren już zdobyty przez Niemców. Ta wizyta aliantów dodała nam sił. Szliśmy w kierunku Woli, gdzie natknęliśmy się na prowizoryczne niemieckie koszary Wehrmachtu. Wartownik zatrzymał nas i, o dziwo, zaczął z nami rozmowę, wyrażając współczucie dla naszego losu i dla tego zniszczonego miasta. Martwił się, bo w Niemczech silne bombardowania aliantów niszczyły miasta i zabijały ludność niemiecką, więc może i jego rodzinę spotkało to samo...

Straszna jest ta wojna!

Chcąc nam jakoś pomóc, ofiarował swój chlebak, w którym był cukier w kostkach i suchary. W tej samej chwili wyszedł z budynku oficer niemiecki i popatrzył w naszą stronę, a nasz rozmówca szybko powiedział:

– Przepraszam, ale teraz będę musiał na was krzyknąć.

I huknął z całej siły:

– Banditen, raus!

Popychając nas kolbą od karabinu na zewnątrz wejścia.

– Raus, raus!

Ale z oczu niemal leciały mu łzy. Wbrew swoim przekonaniom musiał krzyczeć ze strachu przed władzą.

Wzmocnieni cukrem i sucharami dobrnęliśmy do szpitala na Woli. Od razu w drzwiach zostaliśmy serdecznie przywitani przez dr Semadeni, która była naszym profesorem na wydziale stomatologii, na którym przed wybuchem wojny studiowałyśmy razem z Krysią. Pani doktor od razu się nami zajęła. Ojca Krysi ulokowała na oddziale męskim, a Krysia miała tam być salową. Mnie przydzieliła na oddział staruszek.

Śmiertelność była tam ogromna. Po kilku dniach dowiedziałyśmy się o ewentualnej ewakuacji chorych do Milanówka. Dzięki pani dr Semadeni pojechaliśmy wszyscy troje pierwszym transportem z chorymi. My jako służba szpitalna z opaskami na rękawach i z białą flagą na wozie. Były to trzy furmanki zaprzężone – każda w jednego nędznego konika. Na wozach jakieś tobołki, a na nich chorzy przeróżnie obandażowani. Byli to ranni młodzi akowcy. Kontrolowani po drodze przez Niemców dojechaliśmy jednak szczęśliwie do Milanówka, gdzie rozdzielono chorych, umieszczając ich w prywatnych domach.

### *Ocalona przez Maryję*

Październik 1944 r. Milanówek.

Zamieszkaliśmy u znajomych w opustoszałej willi. Ja zajmowałam się zaopatrzeniem, Krysia zaś opiekowała się ojcem. Obie ukrywałyśmy się na strychu. Zaczęło się prowizoryczne życie w ciągłym niebezpieczeństwie, bo Niemcy robili obławy na warszawiaków, nazywając ich bandytami. Chyłkiem i z duszą na ramieniu wychodziło się z domu na targ, aby kupić chleb. Był piękny, pachnący, kilogramowy. Kiedy wreszcie udało się go kupić, zjadałam cały sama z wielkim apetytem, a dopiero następny zanosiałam do domu.

Dla uchodźców z Powstania sytuacja stawała się coraz trudniejsza, więc kto tylko mógł, wyjeżdżał stąd. Tylko czym? Pociąg w stronę Łowicza podstawiano raz na tydzień, ale nigdy nie było wiadomo, kiedy to nastąpi. Czekanie na stacji groziło aresztowaniem. Kiedy wreszcie udało się wsiąść do pociągu, Niemcy robili kontrolę i aresztowali warszawiaków.

Postanowiliśmy jednak wyjechać. Cudem udało się nam wsiąść do wagonu, który był niesamowicie zatłoczony. W pewnym momencie weszli Niemcy i jak zwykle zaczęli szukać warszawiaków.

Wyglądających bardzo nędznie Krysię z ojcem pominięto, ode mnie natomiast zażądano dowodu. Niemiec bardzo badawczo przypatrywał się mojej twarzy, porównując ze zdjęciem w dowodzie. Miałam twarz okrytą chustką, udając, że bolą mnie zęby, ponieważ korzystałam z mojego prawdziwego dowodu, a moje nazwisko, było przecież ciągle na czarnej liście poszukiwanych przez gestapo.

Pasażerowie przyglądali się temu z przerażeniem. Mężczyźni zaciskali zęby, a kobiety składały ręce jak do modlitwy. Niemiec groźnie mi się przyglądał, a ja znów całym sercem błagałam Matkę Bożą o ratunek! Wreszcie powolnym ruchem oddał mi dowód i wyszedł z przedziału. Pasażerowie, współczując mi, pytali:

– Cóż pani ma za dowód, że tak długo go oglądał? Łaska Boża, że tak się skończyło.

Mimo ogromnego tłoku, ktoś ustąpił mi miejsca, a ja, odetchnąwszy z ulgą, opadłam na to siedzenie. Po chwili pociąg ruszył w kierunku Łowicza i już bez kontroli dojechaliśmy

do celu. Stamtąd pieszo poszliśmy do majątku Jasionna, który był własnością państwa Chabowskich.

### *Nocnik i zaświadczenie*

Listopad 1944 r. Obóz w Pruszkowie.

Rodzina państwa Chabowskich przyjęła nas bardzo gościnnie. Ich dom stał się ratunkiem dla wielu uciekinierów z Warszawy. Było nas coraz więcej i siłą rzeczy warunki stawały się coraz trudniejsze, a jednak dzięki Opatrzności Bożej nikt nie był głodny.

Docierały do nas wiadomości, że coraz więcej rannych powstańców przybywa do Milanówka; chcieliśmy więc sprawdzić, czy są tam też nasi najbliżsi. Wydelegowano mnie, jako osobę samotną (po stracie całej rodziny), ponieważ nikogo nie narażałam na aresztowanie.

Ofiarowany mi kiedyś przez Niemca chlebak napełniłam cukrem i suszoną kielbasą i ruszyłam w drogę w kierunku Warszawy. Po przejechaniu paru stacji skontrolowano nasz pociąg i tych, co mieli przy sobie większą ilość żywności, zaaresztowali jako szmuglerów, mnie również. Noc przesiedziałam w miejscowym areszcie razem z pijakami i prostytutkami. Rano załadowano nas do samochodu (budy) i zawieziono do obozu w Pruszkowie.

Obóz znajdował się na terenie warsztatów kolejowych; był to teren ogromny, a ludzi było już tam tysiące. Panował tu głód, a dodatkowo sytuację pogarszała jesienna, dżdżysta pogoda. Stało się w kolejce po gorącą kawę, ale niestety tylko znikoma ilość najenergiczniejszych ją zdobywała. Noc spędzało się na jakichś połamanych deskach, meblach; niektórzy rozniecali odważnie ogień i oczyszczali swą odzież z insektów. Ja, dzięki Bogu, jeszcze ich nie miałam, chociaż stałe chodziłam w jednym ubraniu. Miałam sznurowane buty i płytkie kalosze, które chroniły obuwie. Słowem, cały dobytek nosiłam na sobie. Niestety, wkrótce jeden z kaloszy zgubiłam w błocie, kiedy wychodziłam nocą do latryny.

Zjadłam już wszystkie zapasy, które miały być dla powstańców w Milanówku i postanowiłam pojechać pierwszym transportem, który Niemcy zorganizują. Od lekarza obozowego, który był Polakiem, dostałam zaświadczenie, że jestem chora, ale nie umiałam odczytać, co to za choroba.

Wkrótce miał być transport dla chorych. Wiadomo było, że będziemy jechać w zamkniętym wagonie, więc zaczęłam się do tego przygotowywać.

Zauważyłam, że pewien staruszek pił kawę z białego, emaliowanego nocnika. Obserwowałam więc, co dalej będzie się z nim działo. Przez parę dni nikt go nie używał, stał pod ławką. Kiedy więc w nocy Niemcy zarządzili alarm, wzięłam ten nocnik i stanęłam jako pierwsza w szeregu do transportu, trzymając go w ręku, ponieważ nie miałam gdzie go schować. Niemcy, patrząc na mnie, uśmiechali się i w ten sposób rozładowała się chociaż trochę ta ponura atmosfera.

Mnie natomiast zadziwił inny widok. Otóż w hali tej było nas z tysiąc osób, na wieść jednak o transporcie nagle zrobiło się pusto. Wszyscy chcieli się ukryć, jedni pod łózkami, inni pod szafami. Sprawiało to wrażenie, jakby meble się ruszały. Dopiero kiedy Niemcy spuścili psy, zaczęło się wyciąganie ludzi spod mebli i w ten sposób przymuszani stawali do szeregów.

Gdy uzbierał się w końcu wystraszony tłum, ruszyliśmy przez błota do odległych wagonów. Kiedy już miałam się wgramolić do tego towarowego wagonu, zsunął mi się z nogi ten jedyny już kalosz. Niemiec poświecił mi latarką, abym go mogła wyciągnąć z błota, a następnie pomógł mi wsiąść i kiwał z uznaniem głową na widok mojego jedynego bagażu.

– Ja, ja, gut, gut – mruczał.

Kiedy wagon się wreszcie zapełnił, zamknęli nas i zaplombowali. Było nas ponad setka, w tym kobiety z dziećmi i kilku mężczyzn.

Wkrótce okazało się, że mój nocnik stał się niezbędny dla wszystkich przebywających w wagonie. Zawartość wylewaliśmy przez szparę w podłodze, którą zrobili mężczyźni. W ten sposób mogliśmy utrzymać w wagonie względną czystość.

Nie mogliśmy się zorientować, gdzie nas wiozą; czy to jeszcze Polska, czy może już Niemcy. W końcu, po około trzech dniach, wyładowano nas w polu i pieszo dotarliśmy do najbliższej wioski, eskortowani przez Niemców z psami.

Była to wioska koło Drzewicy. Tam rozdzielono nas do różnych chałup. Ja nadal miałam przy sobie ten nocnik. Przydzielono mnie wraz z dwiema innymi kobietami (matką, która dobrowolnie poszła, aby nie rozłączać się z aresztowaną córką) i umieszczono nas w pustej izbie, gdzie za całe umeblowanie służył snopek słomy rzucony na podłogę.

Pracowaliśmy na kolei, kopiąc rowy pod nowy odcinek torów między Drzewicą a Opoczmem. Pilnowani byliśmy przez żołnierzy Wehrmachtu, którzy nie byli dla nas źli, ponieważ czuli, że ich panowanie niedługo może się skończyć. Ja wraz z innymi niwelowałam teren pod szyny; obracałam łopatą tak niezręcznie, że Niemcy z politowaniem patrzyli na mnie. Ale mnie nie bili.

Po kilku dniach do obozu przyjechał lekarz i wydzielił chorych, wśród których znalazłam się i ja, kiedy pokazałam mu zaświadczenie otrzymane od lekarza w Pruszkowie. Odjechaliśmy do szpitala w Opocznie, gdzie czekaliśmy na korytarzu na decyzję, co dalej. W pewnym momencie wprost zamarłam, ujrawszy z daleka mojego kierownika z fabryki obuwia w Warszawie, który mnie znał pod nazwiskiem Wicińska. Skryłam się szybko za moich towarzyszy, abym nie została rozpoznana, i znów prosiłam usilnie Maryję o pomoc. I, o dziwo, skierował się w inną stronę. Nas natomiast zaprowadzono do samochodu i odwieziono do najbliższej stacji kolejowej. Dostaliśmy zaświadczenia, że jesteśmy zwolnieni z wszelkiej przymusowej pracy, i puszczono nas wolno. Kiedy dojrzałam do Jasionnej, na mój widok ucieszyli się wszyscy, że wróciłam.

Dużo później dowiedziałam się, że zaświadczenie, które miałam od lekarza z Pruszkowa, zawierało rozpoznanie, że jestem chora wenerycznie, a tylko dlatego, aby mnie uratować, bo Niemcy panicznie bali się tych chorób.

Jak to dobrze, że na początku o tym nie wiedziałam, bo z pewnością takie oszukane zaświadczenie natychmiast bym porwała, i byłabym pewnie oburzona na lekarza, że w ten sposób chce mnie ratować.

A teraz jestem mu niezmiernie wdzięczna.



## *Mięso armatnie*

Zbliża się koniec wojny! Jest grudzień 1944 r. Zima staje się coraz mroźniejsza. Ciągłe w oddali słycać odgłosy działań wojennych. Właściwie to już przywykliśmy do tego. Czasami przez nasz teren wracali Niemcy z frontu na Wschodzie. Jak oni teraz wyglądali: poranieni i z licznymi odmrożeniami; w milczeniu znosili swoją klęskę i z wdzięcznością przyjmowali każdy przejaw współczucia.

Minęły święta Bożego Narodzenia i zaczął się nowy 1945 r. Niemcy coraz częściej, w pośpiechu wycofywali się z zajętych terenów.

17 stycznia został przełamany front pod Warką i wojska sowieckie szeroką masą posuwały się błyskawicznie na Berlin. Były to wojska złożone z ludów Dalekiego Wschodu. Ubrani byli w kufajki i walonki. Broń nosili na sznurku, szli po cichutku jak dzikie zwierzęta i stale powtarzali: „Berlin, Berlin”. Na pewno żaden z nich nie powróci do rodzinnej ziemi, szli bowiem jako mięso armatnie na pierwszy ogień.

## *Jutrzenka wolności*

Dzięki staropolskiej gościnności państwa Chabowskich jakoś przetrwaliśmy najcięższy okres; teraz otworzyła się przed nami możliwość wyjazdu z Jasionny. Krysia z ojcem wyjechali w stronę Krakowa, a ja samotnie w stronę Warszawy.

Był luty 1945 r. Nie było żadnych środków lokomocji, szłam więc piechotą wzdłuż torów kolejowych. Pierwszego dnia przeszłam około 30 kilometrów. Leciałam jak na skrzydłach, bo skończyły się wreszcie łapanki i aresztowania, **rozpoczynała się wolność**.

W Milanówku spotkałam serdeczną koleżankę, Danutę Stabrowską-Aniołową, która zaproponowała mi wspólną drogę do Wielkopolski, a ponieważ była głucha i miała pod opieką chorego ojca, poprosiła mnie więc o pomoc w tej drodze. Zgodziłam się i powędrowaliśmy razem, najpierw do Poznania, gdzie oni pozostali, ja natomiast ruszyłam dalej, do Środy niedaleko Poznania, gdzie zamieszkałam na czas nieokreślony u ich krewnych, państwa Szmidtów. Byli to ludzie bardzo dobrze sytuowani, mieszkali w pięknej willi; do nich należał również tartak, a także skład materiałów budowlanych. Do moich obowiązków należała opieka nad dwójką bardzo żywych chłopców w wieku 4 i 6 lat. Warunki miałam teraz bardzo dobre i mój organizm szybko się wzmocnił.

Zbliżała się wiosna 1945 r.; uwaga wszystkich zwrócona była na przebieg ostatnich działań wojennych w oczekiwaniu na zakończenie wojny.

## *Wreszcie wolność!*

**Stało się to 8 maja**, ale wiadomość o tym dotarła do nas dopiero 9 maja z rana. Radość była nie do opisania. Nareszcie wolność!

Ale jaka ona będzie, bo mamy przecież teraz w ojczyźnie innych, nieproszonych gości? Zastanawiałam się, co robić. Czy wrócić do Warszawy, czy może pozostać tutaj. Wracając z kościoła po rannej Mszy świętej, zauważyłam na ulicy porzucony dowód osobisty; zniosłam go na posterunek wojskowy. Okazało się, że w ten sposób wmieszałam się w jakąś grubszą aferę, ponieważ właściciel tego dowodu był poszukiwany, a mnie

chciano zatrzymać dla złożenia wyjaśnień. Dzięki szybkiej interwencji państwa Szmidtów, notabli tej miejscowości, udało mi się wywinąć z tej przykrej przygody. To zadecydowało o moim szybkim wyjeździe do Warszawy. Tym razem dzięki moim chlebodawcom na drogę do Warszawy byłam zaopatrzona wspaniale. Otrzymałam nowe ubranie, bieliznę osobistą i żywność. Najważniejsze były buty, które podarował mi ruski żołnierz Griszka. Był on ordynansem ruskiego pułkownika zamieszkującego chwilowo u państwa Szmidtów. Powracali do Moskwy autem pełnym łupów zagrabionych pod Berlinem. Griszka wystroił się w miejskie trzewiki, a mnie oddał swoje, zdobyczne, czarne żołnierki, które miały metalowe ćwieki i metalową podkówkę na obcasie. Były to buty niemieckich piechurów, każdy był jednak z innej pary. Mnie to jednak nie przeszkadzało, okręciłam sobie nogi onucami i doskonale mi się w nich chodziło, a nawet były one powodem zazdrości innych. Najbardziej bowiem odczuwało się wtedy brak dobrego obuwia.

Serdecznie żegnana przez państwa Szmidtów ruszyłam pieszo do Poznania, skąd wyjeżdżały pociągi w różne strony Polski.

Na stacji w Poznaniu były ogromne tłumy; ludzie powracali z obozów i przymusowych miejsc pracy. Mieli ze sobą ogromne toboły, które ładowali do przedziałów, bali się bowiem je stracić, tak że miejsce do siedzenia było tylko pod sufitem. Kto się nie zmieścił w przedziałach, musiał jechać na stopniach lub na dachu. Lokomotywa sapała pod ciężarem, a serca powracających do domów to płakały, to radowały się na widok polskich łąk ukwieconych jaskrami. Odczuwało się wielką ogólną radość poprzez łązy. Nareszcie powrót do swoich. Nie wszystkim jednak udało się powrócić...



ROZDZIAŁ I: I CO DALEJ?

W żołnierskich butach dobrze mi się wędrowało, zamieszkałam na Okęciu, przy ul. Płatowcowej u znajomych z czasów okupacji. Mieliliśmy warunki gorzej niż złe, ale radość w sercu była tak ogromna, że z entuzjazmem zaczęliśmy budować wszystko od podstaw.

Ośrodkiem tej gorliwości byli ojcowie jezuiti z ul. Rakowieckiej, którzy szybko i sprawnie się zagospodarowali. Kiedy zaczęli porządkować bibliotekę, włączyłam się i ja do tej pracy. Ręcznie kopiowałam karty katalogowe. Warszawa podnosiła się z gruzów i zgliszczy do nowego życia. We wspólnym trudzie była też ogromna życzliwość, a zwłaszcza kiedy chodziło o odnajdywanie swoich najbliższych. Wszędzie były karteczki z informacjami na ten temat. Odwiedziłam moje dawne mieszkanie przy ul. Hołówki; było już zajęte przez sąsiada i jego córkę (jego żona i syn zginęli). Uzgodniliśmy, że on tam pozostanie, a ja otrzymam pieniądze za meble, które ominął szaber i pozostały w domu. Miałam więc już jakieś zabezpieczenie na nową przyszłość...



Chciałam wyjechać z Warszawy, bo zbyt wiele przykrych wspomnień budziło we mnie to mieszkanie i miasto. Rozstaliśmy się w zgodzie.

Przed wyjazdem odwiedziłam jeszcze dwukrotnie rodzinę narzeczonego mojej siostry Elżuni, Zbyszka Turskiego, agenta wywiadu polskiego, ps. „Włodek”, który zaginął gdzieś w Rosji. Poznałam jego mamę Natalię i młodszego brata Zbyszka, Jacka, z którym mam kontakt do dziś. Mieszkali wtedy w Łaskarzewie niedaleko Dębłina. Zastanawiałam się, co ze sobą teraz zrobić.

Chciałam rozpocząć studia pedagogiczne, bo na stomatologię nie chciałam już wracać. Opatrzność Boża zainicjowała spotkanie z moją koleżanką Jadwigą Jełowicką, która namówiła mnie na pięcioletnie studia w Instytucie Katolickim w Częstochowie i załatwiła, że jednocześnie miałam nauczać religii w trzech szkołach podstawowych. Ona zaś miała pojechać na studia do Lublina (KUL).

Propozycję jej przyjąłam z wielką radością; podziękowałam więc ojcom jezuitom za roczną współpracę i 17 września 1946 r. pojechałam do Częstochowy.

## *Życie w Instytucie*

Po wyzwoleniu odbyłam studia katechetyczne w Instytucie Katolickim w Częstochowie i przez kilkanaście lat pracowałam jako katecheta na Ziemiach Odzyskanych. Następnie byłam długoletnim pracownikiem Biblioteki Politechniki Szczecińskiej. W ostatnich latach brałam udział w budowie Sanktuarium Matki Bożej Fatimskiej na Osiedlu Słonecznym w Szczecinie.

W lecie 1946 r. przyjechałam z Warszawy do Częstochowy na pierwszy ogólnopolski kurs katechetyczny prowadzony przez ks. dr. Józefa Wojtukiewicza i p. Adelę Stefanowicz. Zjazd był bardzo liczny. Bogata treść referatów i zajęć wzbudziła ogromne zainteresowanie nowościami w dziedzinie nauczania i wychowania dzieci i młodzieży. Byłam, podobnie jak i wszyscy, bardzo zadowolona z możliwości uczestniczenia w tym kursie. Chcieliśmy bowiem budować społeczność ludzką opartą na zasadach chrześcijańskich, aby już nigdy nie powtórzyła się tragedia II wojny światowej. Trzeba by przeorać wewnątrz człowieka, aby móc budować Królestwo Boże na ziemi. Pełna takich myśli zdecydowałam, żeby we wrześniu tegoż roku przenieść się do Częstochowy i rozpocząć studia w Instytucie Katolickim, jednocześnie ucząc dzieci religii w szkołach podstawowych.

Przyjechałam trochę spóźniona, bo już rozpoczęły się studia i praca.

Rektor Instytutu Katolickiego ks. dr Józef Wojtukiewicz był duszą wszystkiego. Zorganizował studia; studentkom załatwił pracę katechetyczną w szkołach, instruował katechetki praktykantki, opracowywał pomoce, powiełał je i kierował ich wysyłką.

Był pełen energii i radości, a posiadał wszelkie potrzebne umiejętności.

We wszystkim uczestniczyła kierowniczką Instytutu Katolickiego pani Adela Stefanowicz. Była już starsza wiekiem, o pogodnej twarzy i dobrych oczach. Styl jej bycia był pełen wielkiej prostoty, skromności, poszanowania dla każdego człowieka. Czuwała jak matka nad każdą sprawą, z wielkim taktem i serdecznością.

W pierwszej ze mną rozmowie spytała, dlaczego tu przyjechałam. Odpowiedziałam, że od dawna zastanawiam się nad tym, jak ma wyglądać Królestwo Boże na ziemi. Spokojnie odrzekła: „To zostań z nami. A teraz jest tu do zrobienia taka rzecz: trzeba obić tę dyktę papierem, aby była ściana oddzielająca miejsce do pracy w tym dużym pokoju”.



I tak się zaczęło moje poznawanie problemu przez praktykę. Zamieszkałam razem z trzema koleżankami w „interna-cie”, to jest wynajętym pokoiku przy ul. 7 Kamienic. Porządek dnia był ustalony: wczesna Msza święta na Jasnej Górze, od godz. 8 katechizacja w szkołach do obiadu, a do wieczora wykłady w Instytucie. Potem jeszcze praca przy przygotowaniu pomocy katechetycznych. Przed godz. 10 wieczór powrót do internatu.



W sobotę były zajęcia gospodarcze, a w niedzielę miłe spotkania i rozmowy z panią kierowniczką, najczęściej podczas długich spacerów. Zastanawiałyśmy się nad tym, jak wiedza zdobywana na studiach może być zastosowana w życiu codziennym. Pragnęłyśmy sobie i innym przybliżyć Pana Jezusa, aby wraz Nim obejmować sprawy małe i wielkie, bo przecież On jest drogą we wszystkim i dla wszystkich. Szybko mijał czas w tak urozmaiconej pracy.

Na wiosnę 1947 r. Instytut Katolicki przeniósł się do Wrocławia. Jako pierwsi pojechali ksiądz rektor i pani kierowniczką, oraz ja do pomocy gospodarczej. Zamieszkaliśmy w wielkim, pustym domu przy ul. Andrzeja Struga, w okolicy dworca PKP, Odra. W mieszkaniu było brak dosłownie wszystkiego. Uprzejme siostry jadwizanki udzieliły nam koniecznych rzeczy. Pani kierowniczką spokojnie wypakowała swoją podręczną biblioteczkę, którą przywieźliśmy ze sobą w 32 kartonach i już od pierwszego dnia

rozpoczęła opracowanie szkiców katechetycznych do poszczególnych klas, począwszy od pierwszej. Nie zrażała się podstawowymi brakami i wszystko przyjmowała ze spokojem, a nawet z humorem, podtrzymując mnie na duchu.

Ja uwijałam się wokół przygotowania posiłków i zorganizowania warunków bytowania. Z Urzędu Likwidacyjnego otrzymaliśmy trochę połamanych poniemieckich mebli. Codziennie były problemy z brakiem wody, światła, kuchni, ubikacji. Z UNRRY dostaliśmy trochę żywności, ale monotonii posiłków nie było czym urozmaicić. Pewnym urozmaiceniem były zawsze ciekawe wiadomości o organizowaniu się życia religijnego, które ksiądz rektor przynosił z miasta. Również pani kierowniczką informowała nas o szybko rosnącej liczbie opracowywanych przez nią katechez.

Uważała, że należy każdy program podać w nowy sposób, tj. metodą czynną, aby z nową gorliwością i umiejętnością wypełnić program Chrystusowy na miarę naszych czasów. Główną jej troską było religijne wychowanie dzieci i młodzieży, a także dzieci w wieku przedszkolnym, co na owe czasy było zupełną nowością.

Ciągle coś się działo. Dom przy ul. A. Struga trzeba było przygotować do jesieni jako internat dla studentek Wydziału Kultury Chrześcijańskiej. Dla studentów zaś z Wydziału Społecznego otrzymaliśmy dom przy ul. Pokutniczej. Był to kiedyś dom dla starców – obecnie, po wojnie, w okropnie zaniedbanym stanie. Trzeba go było zaadaptować dla naszych celów. Z tego powodu pani kierowniczka przeniosła się tutaj i w charakterze relaksu podczas opracowywania szkiców katechetycznych organizowała sprawy tego domu znów od fundamentów.

Opatrznościowym zrządzeniem ojcowie franciszkanie (w dzielnicy Karłowice) zaproponowali nam zajęcie części ich klasztoru opuszczonego właśnie przez wojsko sowieckie. Trzeba go tylko oczyścić! Tym razem bardzo pomogli nam zakonnicy. Wielka była nasza radość z powodu tego wspaniałego gmachu, choć brakowało nam podstawowych rzeczy. Przywykliśmy już do tego. Teraz będzie tutaj internat dla studentek z Wydziału Kultury Chrześcijańskiej i uczennic Studium Katechetyczno-Wychowawczego. Będą tu sale wykładowe i kaplica.

Pani kierowniczka znów się przenosi i czuwa nad wszystkimi pracami przygotowawczymi. Przyjechały studentki z Częstochowy i pod jej kierunkiem gorliwie włączyły się w tę akcję. Panuje doskonała atmosfera radości mimo ciężkiej pracy fizycznej i bardzo częstego braku pożywienia. Ksiądz rektor i pani kierowniczka gorliwością apostołską przyciągają coraz to nowych pracowników do szkoły służby Bożej.

Przez pół roku odgruzowywania budynków i organizowania normalnych warunków życia pani kierowniczka była zawsze pełna energii, cierpliwości i pogody ducha mimo bardzo słabego zdrowia i chronicznych dolegliwości. Często mówiła mi z uśmiechem: „Trzeba nam to zrobić według zasady *primum vivere deinde philosophari*” (naprzód trzeba żyć, a potem filozofować). Oczywistości tego powiedzenia codziennie doświadczałam.

Dostaliśmy jeszcze trzy wille na Oporowie dla pracowników Instytutu. Dzielnica ta była naprzeciwległym krańcu miasta i z powodu braku miejskiej komunikacji nie mogliśmy zaraz rozpocząć prac porządkowych. Pobyt na Karłowicach to był najdłuższy i najciekawszy okres wspaniałej współpracy z panią Stefanowicz. Jak wiele dziedzin potrafiła ogarnąć i po Bożemu je ustawić tak, że wydawały piękne owoce! Pisały o tym moje koleżanki w różnych opracowaniach, na przykład artykuł S. Piernik wyróżniony na konkursie „Tygodnika Powszechnego”. W „Chrześcijaninie” wydrukowano artykuł dr Haliny Wistuby (niestety brakuje mi danych bibliograficznych). Ideą życia pani Stefanowicz było apostołstwo świeckich w Kościele.



Tablica w kościele św. Antoniego ojców franciszkanów we Wrocławiu upamiętniająca pracę dla Kościoła ks. rektora Józefa Wojtukiewicza.

Wszystkie zalety jej intelektu i serca były pięknie zharmonizowane w służbie tej Sprawy. Nie gubiła się wśród rozlicznych zajęć dnia codziennego, ale strzegła u siebie i u innych głównych nurtów tego powołania. Koncentrowała się maksymalnie w wypełnianiu tego zadania i konsekwentnie odrzucała wszystko to, co było niepotrzebne, co zabierało jej czas albo energię. Miała wielką umiejętność organizowania dnia, była ogromnie pracowita, ale też umiała odpoczywać. Wspaniale wykorzystywała czas. A przecież przy gigantycznej liczbie spraw potrafiła tworzyć, pisać artykuły naukowe, opracowywać różne pomoce, książki, nawet wiersze.

Potrafiła wygospodarować dla siebie odpoczynek w ciągu dnia, w ciągu tygodnia, i podczas wakacji. Najczęściej były to wyjazdy do Oporowa, gdzie otrzymaliśmy budynki po wojsku sowieckim kolosalnie zrujnowane. Remontowaliśmy je przez kilkanaście lat systemem gospodarczym.

Pani Adela ogromnie lubiła kwiaty, przyrodę. Interesowała się zielarstwem i zioła umiejętnie stosowała w leczeniu siebie i bliźnich. W Oporowie bardzo chętnie przygotowywała posiłki dla księdza rektora i dla siebie. Podziwiałam jej wielką umiejętność przerzucania się z bardzo intensywnej pracy całego tygodnia w całkowity relaks w zajęciach ogródkowych, aby znów wrócić do naukowych opracowań. Miała wielką umiejętność organizowania i prowadzenia spotkań, które dopomagały w wyjaśnianiu trudności życia codziennego i wielkich problemów. Umiała cierpliwie słuchać i podnosiła na duchu zatroskanych, pomagając zobaczyć wszystko z szerszy perspektywy.

Kiedy na okres jednego roku pierwszy kurs ze Studium Katolicko-Wychowawczego przeniósł się do Kłodzka, bo tak był liczny, wielką troskliwością otoczyła nasz zespół kierowniczy. Obojętnie w jakim czasie przyjechała któraś z nas, zawsze mogła bez przeszkód porozmawiać z nią i uzgodnić rozwiązanie wszystkich kłodzkich problemów. Wiedziała, że wszelkie niedomówienia mogą spowodować rozbitcie jedności w zespole i osłabić wzajemną miłość. Rozumiała, jak przedziwnie małe rzeczy są powiązane z wielkimi, i dlatego wszystkie jej usiłowania były skierowane na utworzenie prawdziwej Bożej społeczności.

Kolejne etapy przenosin Instytutu Katolickiego z Karłowic do Trzebnicy, a po paru latach do Będkowa, były przez nią przyjmowane w duchu całkowitej uległości zrządzeniom Opatrzności Bożej. Nigdy to nie zamąciło jej spokoju, nie zdenerwowało. Natomiast bolało ją bardzo i do głębi poruszało, gdy spostrzegała brak miłości bliźniego i nieposzanowanie praw Bożych. W likwidowaniu takich spraw była stanowcza i konsekwentna. Ponieważ czyniła to zawsze z wielką miłością, nie wzniesła wewnętrznego oporu. Była głęboko religijna i dostrzegało się, że jest zawsze blisko Pana. Tu przytoczę słowa ks. kardynała Stefana Wyszyńskiego z homilii na uroczystość Wszystkich Świętych: „Mamy swój rodzaj świętości i dlatego tak trudno jest nam pogodzić się z prawdą, że świętość jest współżyciem z Chrystusem, zespoleniem i obcowaniem z Nim na miarę naszych możliwości. Zawsze jednak z udziałem zaparcia się samego siebie, z ciężarem własnego życia, który jest lżejszym lub cięższym krzyżem każdego z nas, krzyżem bohaterów lub krzyżem małych dzieci. Każdy z nas zwycięża siebie według własnej miary i możliwości. Ale Bogu to wystarcza, ponieważ On dla każdego z nas ma odmienną miarę i niezwykłą wyrozumiałość”.

Pani Stefanowicz była wrażliwa na natchnienia Boga i na Jego znaki. Pod okiem Opatrzności Bożej Instytut Katolicki z diecezji wrocławskiej przeniósł się w roku 1958 do

diecezji warmińskiej. Ulokował się w Gietrzwałdzie – w miejscu objawień Matki Bożej Różańcowej. Pani Stefanowicz miała zawsze głębokie nabożeństwo do Matki Najświętszej i ufała, że Matka Boża Gietrzwałdzka, Matka Przedziwna, będzie miała w swej szczególnej opiece ideę apostołstwa świeckich w Kościele świętym.

## ROZDZIAŁ II: MOJE PRZYJAŹNIE

---

### *Miecia i biblioteki*

W pozostawionych materiałach warsztatu bibliotekoznawczego Mieci jest notatka naszkicowana w punktach zatytułowana „Moja droga do biblioteki”. Wiem, że chciała się podzielić tymi wspomnieniami, ale prześladował ją wyraźny pech, bo podczas spotkań bibliotekarzy z okazji uroczystości Jubileuszowych Biblioteki Politechniki Szczecińskiej zabrakło na to taśmy magnetofonowej. Potem przy innych okazjach – czasu, a w ostatniej chorobie – sił.

Pragnę spełnić jej życzenie, korzystając z jej wspomnień z lat szkolnych wspólnie przeżytych oraz przysłanych materiałów od naszych dawnych koleżanek i jej rodziny, postaram się poszerzyć każdy punkt jej szkicu.

#### 1. Umiejętność czytania od 5 roku życia.

Dziś każde zdolne dziecko korzystając z objaśnień starszych, składa sobie litery i powoli niemal samodzielnie dochodzi do tej umiejętności. Ale czy aż tak wcześnie? Pomyślmy, że 50 lat temu dzieci nie miały tyle i tak różnorodnych pomocy jak dziś.

Miecia straciła ojca na obczyźnie. Gdy matka wróciła do Ojczyzny, do Warszawy w 1921 r. z przymusowej ewakuacji w czasie I wojny światowej, znalazły się w bardzo trudnych warunkach materialnych. Wojna zniszczyła dobra rodzinne Przyborowskich i trzeba było zaczynać od podstaw. A jednak matka mimo podwójnych obowiązków zawsze znajdowała czas dla swej umiłowanej jedyńaczki Mietuni.

Miecia zawsze podkreślała jak wiele Jej zawdzięcza. Pamięć o ukochanej Matce, wyjątkowo dobrej i mądrej wychowawczyni, przejawiała się we wszystkich chwilach Jej życia, aż do ostatniego dnia.

#### 2. Pierwsze książki domowe.

Miecia miała niewiele książek dziecięcych, ale za to Wypisy szkolne ze Słowackiego. Zadziwiający musiał być widok przedszkolnej dziewczynki czytającej już swobodnie Słowackiego. I znając dociekliwość Mieci, nie zniechęciła się zbyt trudną na jej wiek treścią, ale ciągnęła aż do końca... Czyżby już wtedy wieszcz urzekł ją swym pięknem?





### 3. Biblioteka szkoły powszechnej

Mietunia zaczęła chodzić do I klasy i widocznie za wcześnie zainteresowała się szkolną biblioteką, bo kiedy wypożyczyła z niej książkę doszło do spięcia z nauczycielką. Gdy dzieci uczyły się alfabetu Miecia nudziła się, więc wyciągnęła wypożyczoną książkę i zaczęła czytać. Nauczycielka skarciła ją i kazała stanąć w kącie. Mietunia do głębi urażona niesprawiedliwością, wyszła z klasy i wróciła prosto do domu. Po tornister poszła Mama, bo Mietunia stanowczo orzekła, że do tej nauczycielki i tej szkoły więcej nie pójdzie. Jej mama mocno się natrudziła, aby przyjęto ją w ciągu roku szkolnego do klasy wstępnej Prywatnego Gimnazjum Sióstr Nazaretanek przy ul. Czerniakowskiej. A Mietunia w tym czasie była w domu i nikt jej nie przeszkadzał w czytaniu książek.

### 4. Biblioteka Wiedzy Religijnej

Mieściła się przy ul. Litewskiej 6; była własnością hr. Tyszkiewiczów. Był tam również piękny dział książek dla dzieci i młodzieży. Miecia tą ulicą wracała do domu i pewnego dnia, gdy spostrzegła, że to jest biblioteka – odważnie weszła i tak została czytelnikiem prawdziwej Biblioteki. Znacznie później i ja przyszedłam tutaj. Zrobiła na mnie duże wrażenie; byłam onieśmielona. Miecia czuła się tam swobodnie i objaśniała mi tak, jakby tam pracowała.

### 5. Biblioteka Różowa i Błękitna

Miecia miała swoją domową biblioteczkę, w którym był cały komplet (6 tomów) Ani z Zielonego Wzgórza – Montgomery, Ani z Lechickich Pól – Dunin-Kozickiej. Miała też inne, ale w sumie niedużo, za to bardzo starannie przez Nią dobrane. Czytała zawsze wszystkie nowości w biblioteczkach swoich krewnych – zazwyczaj w czasie odwiedzin u nich. Jeśli nie zdążyła, wypożyczała do domu i po powrocie czytała aż do końca przy świeczce lub przy latarce.

Pożyczała też książki od koleżanek: Krysi Krukowskiej i Zosi Skrzyneckiej.

Krysia miała dużą, ciekawą bibliotekę wydawnictw polskich i zagranicznych. Była u niej Biblioteka Różowa i Błękitna – tj. biblioteka ilustrowana dla dzieci i młodzieży, ukazująca się co tydzień. Zosia zaś otrzymywała książki w darze od prof. Konrada Górskiego; przysyłane mu z drukarni nowości dla dzieci i młodzieży.

Były też i inne koleżanki, od których pożyczała, a potem było to okazją do niekończących się dyskusji. Ta żywa, swobodna wymiana myśli oraz doskonała atmosfera szkoły utrwaliła więź głębokiej przyjaźni między nami na całe życie – zwłaszcza z Zosią Skrzynecką, Jej najserdeczniejszą przyjaciółką. Obie uczyły się doskonale, więc czas przeznaczwały na najrozmaitsze zainteresowania. Widziałam np. u nich wspaniałą kolekcję fotografii pisarzy i aktorów z autografami dla nich! Z jakiej okazji? Po prostu, bywały na spotkaniach z pisarzami, na przedstawieniach teatralnych i potem odważnie prosiły o cenny podpis.

Był zwyczaj w gimnazjach, że młodzież ze starszych klas chodziła czasem na wykłady uniwersyteckie znanych profesorów. Każdy wybierał sobie dziedzinę, która go najwięcej interesowała. Miecia w młodszych klasach była już tak odczytana i odważna, że zdecydowała się wysłuchać wykładu prof. Konrada Górskiego. Po wielu latach (w 1946-1951 r.) był jej profesorem w Toruniu. Na seminariach prowadzonych przez niego, Miecia wyróżniała się wysokim poziomem prac, więc Profesor zlecił jej zajęcia ze studentami

i proponował bliższą współpracę po ukończeniu studiów w swej katedrze. Ogromnie żałował, że nie złożyła egzaminu magisterskiego z polonistyki. Było to wtedy dla Mieci ponad siły z powodu długiej choroby i śmierci ukochanej Matki (24.X.1951 r.)

Miecia z pewnością zadumą wspominała te czasy i mówiła: Tak, mogłam pójść proponowaną mi drogą, ale ty wiesz, że zawsze bibliotekarstwo pociągało mnie najbardziej...

#### 6. „Laurence”

Wyjaśnienie tego punktu sprawiło mi pewną trudność. Bo jak to pogodzić w czasie? I czy to był Laurence Olivier, którego miała okazję usłyszeć już po wojnie w Warszawie? Bo o tym spotkaniu opowiadała mi parokrotnie z zachwytem. Było ono dla niej bodźcem do gromadzenia unikatowego zbioru płyt z tekstami wybitnych pisarzy zagranicznych, recytowanych przez nich samych lub przez znanych aktorów. A może myślała i o filmie, w którym grał? Wiele było u nas już przed wojną filmów, w których grał ten wybitny aktor. Była znawczynią tej muzy, miała ogromną wrażliwość na piękno słowa, dźwięku, i myślała zapewne o nowych formach przekazu w pracy bibliotekarskiej.

#### 7. Zetknięcie z biblioteką szkoły

Miecia świetnie знаła nasz szkolny księgozbiór i nie dziwiło nas wcale, że pomaga nauczycielce. Ona nawet szybciej udzielała informacji i podawała żadaną lekturę. W tym okresie czytała już dzieła literatury pięknej nie tylko polskie, ale i coraz trudniejsze teksty w jęz. francuskim. Przypominam sobie, że na lekcjach recenzowała najtrudniejsze pozycje obowiązującej i dodatkowej lektury.

Znajomość książek z działów: fizyki, geografii i historii sprawiała, że do tych lekcji nie przygotowywała się z podręczników szkolnych, ale miała zawsze najszersze wiadomości. Szczególnie interesowała się historią. Dla nas było oczywiste, że w r. 1938 rozpoczęła studia historyczne na Uniwersytecie Józefa Piłsudskiego w Warszawie. Ale po pierwszym semestrze przerzuciła się na polonistykę, bo jak mówiła: jeśli fikcja – to już lepiej literacka.

#### 8. Objęcie biblioteki przez s. Bonozę Siedlecką

W swoim życiorysie Miecia pisze: „Wykształcenie zawodowe zdobyłam stopniowo. Znając już od dawna bibliotekę od strony użytkownika w wieku trzynastu lat z własnej inicjatywy zgłosiłam się do pomocy w bibliotece szkolnej. W bibliotece tej prowadzonej wzorowo przez dyplomowaną bibliotekarkę amerykańską, pracowałam przez cztery lata”.

Pamiętam, jaką generalną reformę przeżyła nasza biblioteka, gdy s. Bonoza objęła kierownictwo. Nowy lokal, nowe wyposażenie meblowe, powiększenie i podział księgozbioru, katalogi i barierka, za którą była też i Miecia. Teraz Miecia każdą wolną chwilę, często też po lekcjach spędzała długie godziny w bibliotece, bo wciąż coś opracowywała. W mieście załatwiała sprawy w księgarniach i antykwariatach, śledziła nowości wydawnicze. Najprzyjemniej wspominała współpracę z Instytucją Wydawniczą Gebethnera i Wolffa.

Po wielu latach, gdy byliśmy razem w Szczecinie, opowiadała mi, że to w tym okresie zdecydowała się zostać bibliotekarką. Zaczęła interesować się, jakie trzeba mieć kwalifikacje i jakie są szanse otrzymania pracy. W tej sprawie była na Uniwersytecie i w dyrekcjach kilku najpoważniejszych bibliotek. Informacje o kwalifikacjach otrzymała,

ale wszędzie mówiono jej, że pracy nie otrzyma „chyba, że któryś z bibliotekarzy umrze, ale i tak jest wiele oczekujących na taki vacat” (dosłownie). I chociaż wciąż słyszała taką odpowiedź, nie zniechęciła się, ale tym bardziej intensywnie uczyła się angielskiego, bo wiedziała, że znajomość języków obcych jest konieczna w tym zawodzie. Pamiętam doskonale, jak w klasie VII i VIII zostawała po lekcjach i uczyła się angielskiego z pomocą koleżanki (Amerykanki).

W tym okresie Miecia mocno zdystansowała wszystkie uczennice, nawet swoją przyjaciółkę Zosię. Była pierwszą i jedyną w Gimnazjum, która tak gorliwie i poważnie zajęła się bibliotekarstwem. Po wojnie kilka spośród nas pracuje w tym zawodzie, ale my raczej z przypadku, a Miecia z prawdziwego powołania. Siostra Bonoza była dla niej doskonałą mistrzynią w bibliotekarstwie i Miecia miała dla Niej najwyższe uznanie i głęboką wdzięczność przez całe życie.

#### 8. Biblioteka Tow. Geofizyków

Cytuję dalej z Jej życiorysu: „Po maturze zaproponowano mi (jako prace zleczone) uporządkowanie niedużego, ale niezmiernie ciekawego księgozbioru Polskiego Towarzystwa Geofizyków, składającego się głównie z czasopism otrzymywanych z całego świata drogą wymiany. Ta pierwsza samodzielna praca bibliotekarska dawała mi dużo zadowolenia, ale wymagała też sporo wysiłku w rozwiązywaniu problemów z którymi się uprzednio nie spotkałam. Pomocą w pracy były mi ówczesne dostępne podręczniki bibliotekarskie Łodyńskiego i Crozet`a, korzystałam także z porad personelu Biblioteki Warszawskiego Towarzystwa Naukowego. Uporządkowania tego księgozbioru nie zdążyłam dokończyć z powodu wybuchu II wojny światowej”.

#### 9. Lektura wojenna

Ileć w swych wspomnieniach sięgałyśmy w okropny okres wojny, okupacji, Powstania Warszawskiego, zawsze na pierwszy plan wybijały się przeżycia związane ze stratą najbliższych nam osób. Te kilka lat wojny zadały tak bolesne i głębokie rany, że ani czas, ani żadna inna wartość nie mogą ich zabiżyć w naszej psychice. Anormalne życie w okresie wojennym stawało się tragiczniejsze przez systematyczne „łapanki”, egzekucje, aresztowania i coraz to bardziej nękające nas metody wroga. We własnym mieszkaniu nikt nie mógł się czuć bezpieczny. Był to okres nieustannego napięcia, niepokoju, grozy i męki.

Młódzież instynktownie szukała koniecznego odprężenia w innym świecie jakie dawała dobra literatura. W bibliotekach publicznych lub prywatnych, dobre pozycje (np. z biblioteki laureatów Nobla) były szybko rozchwytywane. Z czasem, gdy Niemcy i tu dotarli w swej niszczycielskiej akcji, cenniejsze dzieła z wszystkich bibliotek przechowywane były w domach prywatnych i to z narażeniem życia wszystkich mieszkańców.

Miecia mieszkała z Mamą w centrum blisko Politechniki. Od wielu lat ich sąsiadem był ówczesny rektor Akademii Sztuk pięknych prof. Tadeusz Pruszkowski. Miecia zawsze korzystała z jego cennej biblioteki. W okresie okupacji biblioteka ta stała się przechodnią najrozmaitszych bezcennych dzieł literatury polskiej i obcojęzycznej z różnych dziedzin. Ten skarbiec stał przed nią otwarty; mogła czytać do woli i zapominać o otaczającej ją strasznej rzeczywistości. Były też liczne okazje do wspólnej wymiany myśli. Miecia bardzo ceniła te rozmowy o literaturze i z wdzięcznością je wspominała. Literatura

tego okresu dała mocne fundamenty pod jej wszechstronne zainteresowania, a dzięki umiejętności bardzo szybkiego czytania zdobyła w dalszych latach wszechstronną wiedzę.

I to już ostatni punkt z jej „drogi do Biblioteki”. „Ale Miecia powiedziałyby na pewno: rozpisalaś się moja Droga... Przepraszam, ale splatałaś mi figła, Kochanie, bo to właśnie ja ze swoim antytalentem do pisania – pamiętasz, jak było w szkole – piszę o twoim ukochanym bibliotekarstwie. To tak, jakby mrówka miała ogarnąć drogi orła. Szczecin 1975 r.”.

## *Biblioteka Powszechna*

Po przeniesieniu Instytutu Katolickiego z Wrocławia do Gietrzwałdu koło Olsztyna przyjechałam tam jesienią 1958 r. po ukończeniu pracy w Kurii Metropolitalnej. Na Warmii było niespokojnie, bo grasowały niemieckie grupy dywersyjne. Grozę budziły bardzo częste podpalenia domów i inne sabotaże. Nasz dom też podpalono, ale szczęśliwie udało się pożar ugasić. W tym okresie byłam przemęczona przewlekłą grypą i ciągłymi stresami, co było przyczyną pogorszenia mojego zdrowia i wyczerpania psychicznego oraz koniecznością wyjazdu z Instytutu Katolickiego na odpowiednie leczenie wiosną 1959 r.

Początkowo zatrzymałam się w Poznaniu, aby zasięgnąć porady lekarskiej. Doradzono mi zmianę pracy i środowiska, twierdząc, że najlepsze dla mnie będzie bibliotekarstwo, bo to bardzo przyjemny i wypoczynkowy zawód, ponieważ czyta się książki. Pojechałam więc do Warszawy, bo miałam tam koleżanki z gimnazjum Sióstr Nazaretanek, które pracowały w różnych bibliotekach. Niestety, nie udało mi się zdobyć tu pracy, ponieważ wymagano bardzo wysokiego specjalistycznego przygotowania zawodowego, a ja wtedy nie miałam nawet żadnego przeszkolenia. Dlatego skierowano mnie do Szczecina, gdzie pracowała moja koleżanka z gimnazjum Mieczysława Siemina, która była wicedyrektorem w Bibliotece Politechniki Szczecińskiej.

Po całonocnej podróży udałam się od razu do Biblioteki Politechniki, która mieściła się w pięknym gmachu w typowym niemieckim stylu. Kiedy weszłam do pokoju numer 11, zobaczyłam Miecę, której nie widziałam od 20 lat. Wcale się nie zmieniła! Poznała mnie i uścisnęłyśmy się serdecznie. Powiedziałam jej, że nie mam pracy ani mieszkania i poprosiłam o pomoc. Odpowiedziała: „Dobrze, wszystko się załatwi. Poczekaj”. Poszła i zwolniła się u pani dyrektor Salomei Wielopolskiej, potem zawiozła mnie do swego mieszkania, gdzie nakarmiła i położyła spać. Po męczącej całonocnej podróży i wielkim stresie sytuacyjnym spałam bardzo długo.

Miecia mieszkała u krewnych, aby po śmierci matki być bliżej swojej rodziny. Państwo Przyborowscy i ich dwie córki przyjęli mnie z otwartym sercem i piękną staropolską gościnnością. Po kilku dniach zamieszkałam już w wynajętym pokoju, w willi ich znajomych. A teraz trzeba się było zameldować, ale myślałam tylko o pobycie tymczasowym, bo nie wiedziałam, czy znajdę tu jakąś pracę. Idę do komisariatu milicji i przedstawiam sprawę. Kierownik posterunku przegląda dowód i stanowczym głosem informuje mnie: „Zameldujemy panią od razu na stały pobyt, ponieważ jest pani nauczycielką, a nam tu na Ziemiach Odzyskanych potrzeba ludzi z kulturą. Dość już mamy tych szabrowników!”.

Broniłam się przed stałym zameldowaniem, ponieważ bałam się utraty dowodu osobistego. „Ależ zapewniam panią, że załatwimy to w trybie pilnym. Proszę nam wierzyć”. I rzeczywiście, po trzech dniach otrzymałam dowód ze stałym zameldowaniem.

Teraz jako pełnoprawna mieszkanka Szczecina rozpoczęłam poszukiwania pracy. Z bijącym sercem weszłam w progi Biblioteki Głównej Politechniki Szczecińskiej. Zgłosiłam się do pani dyrektor, przedstawiając moją prośbę, że chciałabym podjąć pracę, ale tylko na pół etatu ze względu na posiadaną trzecią grupę inwalidzką. „Niestety, nie mamy pół etatów, więc nie możemy pani przyjąć” – z przykrością wyjaśniła pani dyrektor, ale może spróbuje pani w Bibliotece Powszechnej. Udałam się więc do centrali Biblioteki Powszechnej, która była w bardzo ruchliwym punkcie miasta, w samym centrum, blisko głównego dworca kolejowego. Kiedy przedstawiłam panu dyrektorowi Janowi Zarańskiemu moje dokumenty, bardzo się ucieszył, że skończyłam katolickie gimnazjum Sióstr Nazaretanek jeszcze przed wojną i miałam przygotowanie pedagogiczne, i uznał mnie za odpowiednią osobę do pracy wśród dzieci i młodzieży. Zostałam przyjęta od zaraz na pół etatu do czytelni dziecięcej w centrali.

Dział ten miał czytelnię i wypożyczalnię, którą dotychczas prowadziła jedna tylko osoba, z trudem obejmując całość pracy, a ja miałam przejąć dyżury popołudniowe w czytelni.

Na początku zaznajomiłam się z księgozbiorem i czasopismami oraz z moimi nowymi obowiązkami, w czym bardzo uprzejmie pomagały mi koleżanki. Z biegiem czasu pracy mi wciąż przybywało, bo trzeba było zorganizować a to wystawę okolicznościową, a to prowadzić gawędy krajoznawcze dla dzieci czy spotkania autorskie. Organizowałam też loterie z nagrodami za różne osiągnięcia w czytelnictwie. Słowem, coś nieustannie musiało się dziać.

Ogromne zainteresowanie budziły kolorowe filmy, które były wyświetlane raz w tygodniu przez pana Maćkowiaka, pracownika wypożyczalni filmowej. Wtedy czytelnia była wypełniona po brzegi, a nawet przed domem na trawniku, gromadziła się uliczna złota młodzież, która przez otwarte okno mogła swobodnie obejrzeć film wyświetlany na ścianie w czytelni. Były to przeważnie bajki Andersena. Budziły one zachwyt u dzieci i nie tylko, bo rzeczywiście były prześliczne. Pan Maćkowiak wyświetlał te bajki również dla dzieci chorych leżących w szpitalu dziecięcym przy ul. św. Wojciecha. Radość dzieci była ogromna, korzystały z tego nie tylko dzieci chore, ale również personel, łącznie z dyrekcją. Oprócz pracy związanej ściśle z dziećmi były jeszcze do wykonania sprawozdania: dzienne, miesięczne i roczne.

Wkrótce rozpoczęłam wraz z innymi pracownikami biblioteki trzyletni kurs bibliotekarski. Była to nauka przy pomocy skryptów wydanych przez Ogólnopolski Związek Bibliotekarzy oraz kwartalne ćwiczenia kontrolne prowadzone przez Ośrodek Naukowy naszej biblioteki. Między innymi jednym z zadań było opracowanie literackiej analizy jakiegoś dzieła, które ja wykonałam na podstawie opowiadania Ernesta Hemingwaya Stary człowiek i morze.

To była właśnie ta miła, spokojna praca w bibliotece w pojęciu pana doktora. Przekonałam się, że nie tylko lekarze, ale i inni też nie mają pojęcia, na czym polega praca bibliotekarza. Pracując w czytelni, włączałam do stałego przeglądu kolorowe czasopisma francuskie dla dzieci: „Riquiqui” i „Roudoudou”, opracowane w bardzo logiczny sposób,

z przepięknymi, estetycznymi obrazkami. Nawet dzieci przedszkolne chętnie je oglądały, przekazując sobie ich treść, którą im opowiedziałam.

Kiedyś zdarzyło się, że podczas wizytacji z Ministerstwa Kultury i Sztuki (nasza biblioteka ubiegała się wtedy o status biblioteki naukowej) wizytatorzy weszli też do czytelnicy, gdzie przy ogromnym, okrągłym stole siedziało kilkanaścioro maluchów przedszkolnych, z zapalem oglądających francuskie czasopismo. Pan minister zaintrygowany tym widokiem zbliżył się i zapytał jedno z dzieci:

- Czy to polska gazetka?
- Nie, francuska - odpowiedział zapytany.
- To ty umiesz czytać po francusku?
- Nie, ja czytam obrazki.

Goście zdumieni odpowiedzią dziecka uśmiechnęli się i spojrzeli po sobie. Wychodząc, okazali zadowolenie, że i w ten sposób przebiega praca z dziećmi.

Zarówno w czytelnicy, jak i wypożyczalni robiło się co parę miesięcy tak zwane scontrum, które polegało na kontroli wypożyczonych woluminów oraz pozostałego księgozbioru. Tempo pracy coraz bardziej się zwiększało, natomiast pożywienie stawało się coraz bardziej skąpe. Brakowało baru lub stołówki, gdzie można byłoby zjeść coś gotowanego. Koleżanki poważnie zaczęły chorować na przewód pokarmowy, bo latami jadły tylko kanapki z herbatą. Ja nie odczuwałam tego problemu, ponieważ pracowałam w godzinach popołudniowych. Często pomagałam w wypożyczalni, kiedy była pogoń za lekturami szkolnymi i frekwencja bardzo rosła. Te dyżury popołudniami (od godz. 15 do 19) były bardzo ciężkie, ponieważ jednego dnia było na przykład ponad stu czytelników.

Pewnego razu, kiedy odbywał się Wyścig Pokoju, jeden z etapów miał przebiegać przez Szczecin i całe prawie miasto wyległo na ulice, żeby go obejrzyć, miałam właśnie dyżur w wypożyczalni. Sądziłam, że nikt nie pojawi się po lekturę w takim dniu, więc będę mogła zamknąć wcześniej wypożyczalnię i też popatrzeć na kolarzy. Jakież było moje zaskoczenie, gdy pojawił się znany mi czytelnik z VI klasy, pochodzenia żydowskiego, i wyjaśnił, że nie interesuje się sportem, ale książkami, i chciałby obejrzyć cały księgozbiór, ponieważ dziś nikt mu nie będzie przeszkadzał. Miał rację: więcej nikt się nie zjawił, ale i ja nie mogłam wyjść, aby zobaczyć wyścig. Ten młody, gorliwy czytelnik bardzo mi zaimponował.

Do moich obowiązków należało poznanie całego księgozbioru, aby móc podać odpowiednią książkę na życzenie czytelnika. W związku z tym codziennie brałam po parę pozycji do domu, aby się z nimi zapoznać i zwrócić je następnego dnia jeszcze przed godziną otwarcia.

Raz w miesiącu odbywało się szkolenie



zawodowo-ideologiczne dla wszystkich kierowniczek z poszczególnych filii z terenu całego miasta. Było nas dwadzieścia parę osób; z tego prawie wszystkie były bardzo młode i pełne entuzjazmu oraz inicjatywy; chętnie korzystałam z ich doświadczeń.

Na takim właśnie szkoleniu zdarzyło się, że instruktor, który wykladał jakiś zawiły temat, zauważył jakąś konsternację wśród słuchaczek; przerwał więc wykład i zapytał, o co chodzi. Jedna z odważniejszych zapytała o polską granicę na Odrze i Nysie: Jak będzie podzielony Szczecin, czy my w ogóle będziemy w Polsce? Posypały się różne poważne i mniej poważne uwagi słuchaczek. Instruktor odpowiedział, że jest to sprawa bardzo poważna i rozstrzygnąć jej dziś nie potrafimy. I zakończył szkolenie. Kiedy dobiegły końca ćwiczenia i zajęcia kursu, odbył się końcowy egzamin tak zwany klauzurowy, który szczęśliwie zdałam.

Potem dyrekcja zaproponowała mi przejście na pełny etat i kierownictwo filii w dzielnicy Pogodne, w której właśnie mieszkałam. Propozycja objęcia tego stanowiska była wyrazem zaufania do mnie i wyróżnienia, ja jednak nie przyjąłem tej propozycji, ponieważ równocześnie zaproponowano mi pełny etat w Bibliotece Politechniki, w dziale wewnętrznym. Otrzymałam tam dużo wyższą pensję oraz mogłam korzystać w godzinach pracy ze stołówki. Te sprawy zadecydowały o moim wyborze, a dyrekcja Biblioteki Powszechnej, w której pracowałam 3 lata, uznała moje racje i nie robiła mi trudności w przeniesieniu się do Politechniki.

Od roku 1962 zaczęłam pracować w Bibliotece Głównej Politechniki Szczecińskiej.



Moim bezpośrednim kierownikiem i jednocześnie dyrektorem była dawna moja koleżanka z gimnazjum Sióstr Nazaretanek w Warszawie – mgr Mieczysława Siemina. Kierownik działu personalnego po obejrzeniu moich dokumentów skierował mnie do pracy w dziale wewnętrznym, żebym nie mogła apostołować wśród młodzieży. Pojawiła się też kolejna trudność: otóż mieszkalam razem z Mecią u jej rodziny. Pani dyrektor Salomea Wielopolska obawiała się, że nasze bliskie kontakty mogą ulec zmianie wskutek jakichś nieporozumień, a wtedy mogłaby utracić dobrego dyrektora. Kochana Micia natychmiast zaręczyła za mnie – i tylko dzięki temu zostałam przyjęta do jej działu wewnętrznego, to jest do działu opracowywania druków zwartych. Dopiero w domu opowiedziała mi o obawach pani dyrektor. Byłam jej bardzo wdzięczna za okazane mi zaufanie i dzięki Bogu nigdy go nie zawiodłam.

Za poradą lekarza zawiesiłam moją III grupę inwalidzką na 1 rok i podjęłam pracę na pełnym etacie. I tak przepracowałam szczęśliwie 16 lat.

Moim obowiązkiem była inwentaryzacja księgozbioru dla czytelni i wypożyczalni oraz dla pięciu wydziałów: Ekonomicznego, Budowy Maszyn, Lądowego, Elektrycznego i Chemii. Prowadziłam też statystykę ilościową i wartościową poszczególnych inwentarzy. W rachunkach nigdy nie byłam zbyt mocna, ale cierpliwe poszukiwanie błędów nauczyło mnie wiele. Obliczenia robiłam na liczydłach, potem na specjalnej tabliczce rachunkowej (zakupionej prywatnie w Niemczech).

Najtrudniejszym zadaniem dla naszego działu było roczne sprawozdanie, które cały zespół sprawnie wykonywał na termin. Dzięki mądrości Miei i wielkiej wzajemnej życzliwości, którą ona umiejętnie budziła i pogłębiała, pracownicy tego działu stali się bardzo zgranym zespołem. Micia chętnie wprowadzała racjonalizację, na przykład sprowadziła z Niemiec maszynę do adresowania „Renę”, która miała matrycę pozwalającą powielać dowolną liczbę kart katalogowych koniecznych do różnych katalogów.

Dzięki znajomości kilku języków korzystała z informacji podanych w literaturze obcojęzycznej. Z jej osiągnięć chętnie też korzystały inne biblioteki w Polsce. Nawet kiedy była już śmiertelnie chora, nadal interesowała się pracą w swoim dziale oraz uczestniczyła w przygotowaniu opracowań naukowych.

Jak wiele jej zawdzięczamy, świadczą wypowiedzi bibliotekarzy zebrane przez koleżanki już po jej śmierci. Dla mnie było to szczególnie ciężkie przeżycie, ponieważ miałam w niej wielką i serdeczną przyjaciółkę, mądrą i troskliwą doradczynię. Zawsze miałam w niej oparcie i życzliwą pomoc w trudnościach zawodowych i życiowych. Kiedy przerabiałam trzyletni kurs dla bibliotekarzy w Bibliotece Powszechnej, bardzo mi pomogła.







Troszcząc się o moje dalsze losy (przepisała na mnie notarialnie swoje mieszkanie, które wkrótce miała otrzymać, ale już go nie doczekała), zabezpieczyła mnie na przyszłość. Po 40 latach wędrowania po różnych mieszkaniach otrzymałam piękną kawalerkę na własność w bloku przy ul. św. Kazimierza

Królewicza w Szczecinie. W ten sposób Micia jeszcze po swojej śmierci zadbała o moje dalsze życie.

Pamiętam dobrze, że kiedy mieszkaliśmy razem na Pogodnie w Szczecinie, często zdarzała się okazja włączenia do pracy charytatywno-katechetycznej. Miałam na to wielką ochotę, ale Micia przestrzegała mnie, abym tego nie robiła, dopóki jestem pracownikiem Politechniki. Mówiła mi wtedy: „Potem, gdy będziesz już na emeryturze – rób, co chcesz, ale teraz nie wolno!”

Rzeczywiście, przekonywałam się niejednokrotnie, jak byłyśmy obserwowane, a nawet otrzymywałyśmy uwagi na temat naszych niewłaściwych przekonań politycznych. Wykorzystano by każde nasze najmniejsze potknięcie, aby usunąć nas mimo bardzo dobrej opinii o naszej pracy zawodowej. Jakże mądra była rada mojej przyjaciółki i dzięki temu dotrwałam do emerytury, mimo że po jej śmierci ostatnie trzy lata pracy były dla mnie bardzo trudne.

Można by wiele napisać o Mici, o jej bezinteresownej dobroci, ale brak mi słów na wyrażenie wdzięczności za to wszystko, co dla mnie zrobiła, za jej piękne, ofiarne życie, z którego inni tak wiele czerpali dobra dla siebie. Jestem bardzo szczęśliwa, że mogłam przez tyle lat razem z nią mieszkać i pracować: od lat szkolnych, poprzez pracę w bibliotece, którą bardzo kochała, i wspólne zamieszkiwanie aż do jej śmierci. W czasie ostatniej choroby Micia napisała notatkę o swojej drodze do biblioteki. Była po prostu urodzoną bibliotekarką – od najmłodszych lat pragnęła nią zostać. I rzeczywiście, była najlepsza w swoim fachu.

Wierzę, że to Boża Opatrzność postawiła mi ją na drodze jako opiekunkę na trudne lata życia w nowym środowisku. Micia spoczywa na nowym cmentarzu farnym w Bydgoszczy razem ze swoją mamą.



## *Prof. Juliusz Grabowiecki – nauczyciel matematyki*

„Od wielu lat wykładał matematykę w starszych klasach prof. Juliusz Grabowiecki. Miał ujmującą, skromną powierzchowność, rysy twarzy szlachetne, bardzo wysokie czoło i bujną czuprynę. Swoją przedmiot wykładał z zamiłowaniem. Materiał podawał w tak bardzo przystępnej formie, że nawet słabsze uczennice pojmowały zawiłe zagadnienia z tej dziedziny wiedzy. Dlatego wszystkie maturzystki zdawały egzamin z tego przedmiotu, a nie z fizyki. Jeżeli któraś z uczennic miała trudności w zrozumieniu podanego zadania lub wzoru, to pan profesor bardzo chętnie i cierpliwie wszystko tłumaczył aż do opanowania zagadnienia. Zawsze służył nam swoim czasem i dlatego miałyśmy odwagę prosić go o pomoc. Ceniłyśmy jego bezinteresowność i lubiłyśmy go. Był bardzo punktualny, nigdy nie spóźniał się na lekcje ani na dodatkowe wyjaśnienia przed lekcjami.



Było to chyba w 1937 roku. Dowiedziałyśmy się, że pan profesor będzie brał ślub podczas rannej Mszy świętej. Tego dnia miała być w naszej klasie klasówka – i to na pierwszej lekcji, to jest o godzinie ósmej. Taka ważna chwila w jego życiu, więc pomyślałyśmy, że się spóźni i klasówkę odłoży. Zamiast więc myśleć o zadaniach zastanawiałyśmy się, kim jest jego wybrana – ukochana.

Dzwonek, godzina ósma. Pan profesor wchodzi do klasy z obrączką na palcu i uprzejmie wyjaśnia, że Msza święta się skończyła, małżonka poszła do szkoły – wykłada też matematykę, a on dziś ma z nami zapowiedzianą klasówkę. Boże! Jak można pierwsze chwile po takim wydarzeniu życiowym spędzić w szkole na klasówce! Z wielkim uznaniem, pełne podziwu dla jego obowiązkowości i ofiarności, w ciszy usiadłyśmy do rozwiązywania zadań. Jakie były wyniki, już nie pamiętam, zapamiętałam jednak inną klasówkę.

Było to już w ósmej klasie. Każdy stopień miał wpływ na dopuszczenie do matury. Przysiadłam, więc znów fałdów. Nawet w niedzielę, zamiast z koleżankami pójść do kina na dobry film, zostałam w domu, aby przerabiać wszystkie zadania z podręcznika do geometrii. Wyniki kontrolne rozwiązań były podane na ostatniej stronie książki. Zawsze byłam dość słaba z matematyki. Algebra wydawała mi się zbiorem liter, labiryntem, z którego nie umiałam się wydostać. Geometria natomiast bardzo mnie interesowała, była to dobra łamigłówka, bawiło mnie poszukiwanie poszczególnych jej części. Z uporem przerabiałam wszystkie zadania z wyjątkiem dwóch, z którymi nie mogłam sobie poradzić. Nazajutrz porozumiałam się z naszą prymuską, Danusią Bojanowską, która także z tymi zadaniami miała trudności. Na przerwie wyjaśniła to z profesorem. Teraz wiedziałyśmy, na czym polegał nasz błąd.

Wkrótce była klasówka i zadania rozwiązałam bez trudu. Widziałam, że koleżanki męczyły się. Stopnie z tej pracy wypadły złe, było dużo trójek i tylko dwie piątki. Jedną

otrzymała Danusia Bojanowska, a drugą ja! Pan profesor był zdumiony. Jak to się stało? Najlepsza i najslabsza uczennica, jak to rozumieć? Ściągać nie mogłam, bo Danusia siedziała pod oknem, a ja po przeciwnej stronie pod ścianą. Koleżanki też głośno wyrażały zdziwienie, ale zapewniały, że nie ściągałam. Byłam mocno speszona tą sytuacją, więc milczałam. Z ogólnego zakłopotania wyrwał nas dzwonek na koniec lekcji. Pan profesor z miną niepewną wyszedł, rzuciwszy nieśmiało spojrzenie w moją stronę. Już wtedy byłam pełna kontrastów, co szokowało otoczenie. W dalszym życiu było ich tak wiele, że wszyscy do tego przywykli. Szczecin, 26 sierpnia 1993 r.”<sup>33</sup>.

### *Florentyna Danuta Krzeszewska*



„Nie pamiętam jak to się stało, ale od IV klasy byłyśmy już serdecznymi koleżankami. Może prawem kontrastu. Danusia była największa w klasie, a ja najmniejsza. Ona o budowie atletycznej, zdrowa, ja drobna i chorowita. Ona miała piękne warkocze o rzadko spotykanym kolorze, popielaty blond, a ja słabe włoski, z których nawet jednego mysiego ogonka nie można było spleść. Ona odważna, wesoła, pełna życia, ja cicha, zalękniona. Ona bardzo zamożna, ja odczuwałam najrozmaitsze braki. Siedziałyśmy zawsze obok siebie. Ona z trudem mieściła się w największym stoliku-ławce, i do świata rwała się z ciekawością. Dla mnie zaś każda ławka była za duża, życie szkolne usiane trudnościami, a w przyszłość patrzyłam z nieufnością. Danusia miała serce nieprzeciętnie czułe i dobre, podobnie jak Garonne z książki pt.

„Serce” Amicisa, i pewnie dlatego wzięła mnie w swą serdeczną koleżeńską opiekę.

Dwie siostry Danusi zmarły w bardzo wczesnym dzieciństwie i mnie traktowała jak siostrę. Bardzo często bywałam w jej domu, w pięknej kamienicy przy ul. Wspólnej 75, obok ogrodu pomologicznego, blisko kościoła Świętej Barbary. Mieszkanie było bardzo obszerne, bo aż 5 pokoi, urządzonych dostatnio, ale bez przesady. Ład i umiar panował tu we wszystkim. Matkę Danusi, panią Florentynę, już wcześniej znałam i lubiłam. Należała do zarządu koła rodzicielskiego naszego gimnazjum i była jedną z najbardziej aktywnych i ofiarnych osób. Byli w kole podobni do niej: pani Maria Krukowska i pan Lucjan Lekczyński. Tę trójkę rodziców najczęściej widywałyśmy przy furcie pod zegarem, gdzie się spotykali, aby potem w ciszy jakiegoś pokoju opracowywać organizację najrozmaitszych imprez, na przykład kolonii, wycieczek, loterii, zbiórek. Także zakup

<sup>33</sup> T. Sułowska, Twierdza przy Czerniakowskiej, s. 45-47

biletów na przedstawienia teatralne, operowe, koncerty, filmy dla uczennic niezamożnych należał do ich obowiązków. Pod tym względem mieli bardzo bystre oczy i umieli dostrzec braki i ból nawet nieuzewnętrzniony. Dlatego serdecznie lubiłyśmy tych rodziców i tylko o nich mówiłyśmy: „mama Krukowska, mama Krzeszewska, tata Lekczyński”, a inni rodzice byli dla nas panem lub panią.



W domu państwa Krzeszewskich, mimo wielkiej zamożności, panowała atmosfera pracy i troski o bliźnich, zawsze w pokoju i zgodzie. Pan domu miał na imię Roch, był wielkim demokratą nie tylko z przekonania, ale i realizacji. Dzień pracy zaczynał bardzo wcześnie śpiewem Godzinek do Najświętszej Maryi Panny. Z małżonką uzgadniał plan spraw na dzień bieżący i po małym śniadaniu wychodził do pracy przed godziną siódmą. Jechał na Targówek, ponieważ tam rozpoczął budowę domów dla robotników. Mieszkania te miały być z wygodami, co było nowością i budziło wiele zastrzeżeń wśród jego znajomych. Pytali: Po co aż łazienka z toaletą? Czy nie może być jedna zbiorcza dla całego piętra? A te dwa pokoje z kuchnią we wnęce i jeszcze przedpokój! Po co taki luksus! Ale pan Roch nieugięcie i ze spokojem odpowiadał, że robotnik też człowiek i po rzetelnej, ciężkiej pracy

należą mu się godziwe warunki bytowania. I sam codziennie dopilnowywał prac budowlanych.

Pani Florentyna również modlitwą i nuceniem psalmów rozpoczynała dzień pracy. Budziła Danusię. Dawała polecenia pani Władzi, pomocy domowej, i śpieszyła na Mszę świętą o 7 rano do pobliskiego kościoła, a potem odwiedzała swoich bardzo licznych lokatorów, którzy mieli jakieś troski: chorych, emerytów, samotnych i nieustannie im pomagała. Bardzo często zdarzało się, że dawała im pieniądze na opłacenie zaległego komornego, aby nie sprowadzili na siebie komornika. Czyniła w sekrecie przed małżonkiem, dając im pieniądze zaoszczędzone na gospodarstwie domowym. Pan Roch domyślał się tego i nieraz mówił: Floruniu, ty byś wszystkich warszawskich biedaków obdarowywała! I serdecznie ją całował, a przy najbliższej okazji hojnie uzupełniał ten uszczerbek w kasie domowej. Małżonka mu za to dziękowała i mówiła, że to wszystko, co mamy i dajemy, to Boży dar. A mąż odpowiadał, że tak, ale trzeba i pracować. A tymi biedakami warszawskimi o których wspominał pan Roch, codziennie opiekowała się również jego córka, o czym zupełnie nie wiedział.

Danusia z trudem rozpoczynała dzień, bo miała dobry sen i ciężko jej było wstać z łóżka. Potem wszystko załatwiane było w wielkim pośpiechu. Najważniejsze dla niej było dobre śniadanie. Brała na drugie dużo, zbyt dużo, aby mogła to zjeść, choć apetyt miała dobry. Pani Władzia na widok wypchanej teczki, w której było więcej jedzenia niż książek, zawsze jęczała: – „Oj, panienka to nigdy nie będzie taka delikatna jak inne panienki. Tyle jedzenia!” Ale Danusia przerywała jej ze śmiechem. – „Ty się o mnie nie martw”, dopinała teczkę. – „Dziękujemy, do widzenia!” i pędem wybiegałyśmy z mieszkania. Danusia zawsze



była pierwsza. W bramie z uśmiechem wsunęła kiedyś w kieszeń czekoladę jakiemuś jeszcze zaspanemu dziecku. Mówię na ulicy: – „Danusiu, zdaje mi się, że jest to dziecko waszej dozorczyńni, więc czy ono ma źle?” „Nie” – odpowiada – „ale ona lubi sobie czasem popić, a przecież lepiej, aby za te pieniądze kupiła coś słodkiego swoim biedactwom, których ma kilkoro, a jest wdową”.

Nie było czasu na dyskusję. Biegłyśmy, aby nie spóźnić się do szkoły. – „Wczoraj szłyśmy Wspólną, to dziś lecimy Hożą, bo na nas czekają” – mówi Danusia, wyprzedzając mnie o parę kroków. Na ul. Hożej z najbliższej bramy wysuwa się ubogi z kulą pod pachą, stary człowiek o bladej, schorowanej twarzy i wita: „Dzień dobry paniencie”. Danusia podchodzi do niego z uśmiechem i podaje śniadanie,

mówiąc: „proszę”. Szybko idziemy dalej. Tu znów jakaś kobieta w bramie kłania się i mówi: „Szczęść Boże”. Danusia znów podaje jej jedzenie. Kobieta chce ją pocałować w rękę.

I tak kilka osób coś dostało, a jeżeli brakowało jedzenia, to dawała swoje kieszonkowe. Za nami słychać było błogosławieństwa i zdrowaśki obdarowanych. Danusia bardzo rzadko naruszała moje śniadanie. Dobiegałyśmy do placu Trzech Krzyży i wsiadałyśmy w tramwaj, w dwójkę w kierunku Czerniakowskiej. Prawie zawsze zdążyłyśmy na lekcje. Na dużej przerwie, tak zwanej śniadaniowej Danusia mówi do mnie: „Głodna jestem, daj mi trochę ze swojego śniadania”. Chętnie się dzieliłam, ale to było stanowczo za mało na jej apetyt, więc porozumiewawczo szeptałyśmy do pensjonarek: „Przynieście coś głodnej”. One już wiedziały, o co chodzi, i po powrocie ze śniadania wyciągały spod bluzki lub z kieszeni fartucha różne resztki i kładły Danusi na ławce. A jej wszystko smakowało. Myślałam sobie wtedy: Gdyby to widzieli jej rodzice, jak ich ukochana jedynaczka dożywia się resztkami stołu, byłiby co najmniej zdziwieni. Wszystkie koleżanki lubiły Danusię, a ta sprawa to była słodka tajemnica naszej klasy.

Po lekcjach najczęściej wracałyśmy do jej domu, bo Danusia chętnie pomagała mi w nauce. Odrabiałyśmy lekcje. Ona swoje wykonywała bardzo szybko i miała potem dodatkowe obowiązki: konwersację z języka francuskiego, uczyła się też niemieckiego i gry na fortepianie. Dużo czytała. Lubiła deklamować wiersze i z łatwością je zapamiętywała. Często w wolnych chwilach coś sobie wypisywała na karteczce i obliczała. Kiedyś zapytałam, co tak wolno liczy tych kilkanaście pozycji. „A wiesz, zastanawiam się, ile dostałabym od znajomych wieńców, a ile wiązanek, gdybym umarła. Jak myślisz?” A potem: „A ty, co mi dasz, wieniec czy wiązanek?” Siedziałam obok zupełnie oniemiała. Skąd u niej takie myśli! Gdy zmuszała mnie do odpowiedzi, było mi jej serdecznie żal.

„Teraz masz całusa, bo wieńca ani wiązanki ci nie dam, ale klapsa za takie myśli. Lepiej wytłumacz mi zadanie matematyczne albo popraw wypracowanie z polskiego”. I Danusia schodziła z marzeń w świat rzeczywistości i stawała się znów cierpliwą korepetytorką nieumiejętnej uczennicy.

Przeczcucia Danusi sprawdziły się... Potem, w tych strasznych warunkach Powstania Warszawskiego, nikt nie mógł jej złożyć ani wieńca, ani wiązanki kwiatów. Przywalały ją cegły.

Po upływie tylu lat wciąż nasuwa mi się wiele wspomnień. Byłaś mi zawsze oddana, wiele można by pisać o tobie. Wybrałam to, co najbardziej cię charakteryzowało, co tak pięknie przejęłaś od swoich rodziców: ogromną komunikatywność z otoczeniem, życzliwość dla każdego i uczynność. Pisząc to składam ci wianuszek z niezapominajek, Danusiu. Wdzięczna Ilona”<sup>34</sup>.

„Danuta Krzeszewska była najmłodszą z tego grona [filozofów], urodzona 18.12.1919 r. w Warszawie. W chwili wybuchu wojny była jeszcze w początkach studiów uniwersyteckich. Podczas oblężenia Warszawy we wrześniu 1939 r. pracowała jako sanitariuszka i odznaczona została krzyżem walecznych. Placówka jej była właśnie na terenie Uniwersytetu, gdy w jednym z końcowych dni oblężenia trafiony pociskiem zaczął płonąć budynek mieszczący Seminarium filozoficzne; trzeba było ratować bibliotekę, ale pociski padały gęsto, nikt nie odważał się wyjść ze schronu. Wyszła ona jedna i sama wносиła książki, aż za jej przykładem poszli inni.

Cechowała ją jakaś niepojęta szybkość rozwoju, niespotykana w tych młodych latach dojrzałość i szerokość umysłu. Najgłębsze jej zainteresowania leżały na granicy filozofii i sztuki, a zwłaszcza literatury. W „Zagadnieniach filozofii” opracowała rozdział o „Estetyce”. Podjęła pracę o filozoficznych założeniach A. Huxleya, ale nie zdążyła jej skończyć. Poniekąd dlatego, że nauka była jednak zawsze tylko częścią jej pełnego życia. Nie podobna powiedzieć, ilu ludziom w latach wojny pomogła w niebezpieczeństwie, ilu uratowała. Podczas Powstania była znów sanitariuszką. I ratując rannych podczas nalotu w śródmieściu, zginęła 4 września 1944 roku przy ulicy Zgoda.

Zespoliły się w niej i spotęgowały wszystkie własności tego grona: najprzedniejsza kultura umysłu otwartego na wszystko i wszystko rozumiejącego, polot myśli żadnym dogmatem nieobciążonej, głęboki stosunek do życia, chcący mieć odeń wszystko albo nic, bezgraniczna odwaga, pełnia życia a zarazem zupełna, godna filozofia o nie niedbałość, a z tym wszystkim – mimo zrozumienie i odczucie wszystkich uroków życia, beznadziejny smutek, piętno nieszczęścia, jakby instynkt pokolenia, któremu sądzona była zagłada. Władysław Tatarkiewicz”<sup>35</sup>.

---

<sup>34</sup> T. Sułowska, Twierdza przy Czerniakowskiej, s. 240- 243

<sup>35</sup> W. Tatarkiewicz Wspomnienia o filozofach, s. 52

## Wanda Zaborowska



„Pełna radości Wandzia Zaborowska mieszkała w pensjonacie Nazaretu. Do jej rodzinnego majątku w Kownatach (koło Białej Podlaskiej) często byłam zapraszana na wakacje. Ileż razy w rozmowach do białego dnia snułyśmy plany naszej przyszłości, roztrząsałyśmy różne problemy i szukałyśmy sposobów usunięcia zła ze świata. Właśnie u niej zaskoczył mnie początek wojny – 1 września 1939 r. i naloty niemieckich samolotów! Niepewność każdego dnia stała przed wszystkimi. Te ziemie dwukrotnie znalazły się w zasięgu działań wojennych. Nie było kolei, dlatego wozem drabiniastym wróciłyśmy do Warszawy okupowanej przez Niemców.

Zacząło się życie wymagające wielkiego hartu ducha i ogromnej ufności w zwycięstwo dobra nad złem. Dzieliłyśmy się swymi przeżyciami. Wandzia, zawsze pogodna, wrażliwa na potrzeby otoczenia, podtrzymywała mnie na duchu, gdy dotknęły mnie bolesne straty: siostra Marta zabita podczas oblężenia Warszawy, ojciec zaginął w zawierusze wojennej. Wandzia służyła bezinteresowną pomocą mojej rodzinie będącej w ciężkich warunkach materialnych. Promieniowała z niej miłość Ojczyzny i pragnienie przyspieszenia dnia jej niepodległości. Włączyłyśmy się razem w szeregi AK jako sanitariuszki, gdyż będąc jeszcze w gimnazjum ukończyłyśmy roczny kurs PCK.

W czasie Powstania Warszawskiego Wandzia zginęła ratując rannych żołnierzy z bombardowanego i płonącego szpitala sióstr Elżbietanek na Mokotowie. W czasie ekshumacji ciał osób poległych w powstaniu odnalazłyśmy szczęśliwie jej zwłoki na prowizorycznym cmentarzu koło tego szpitala. Włożyłyśmy je do skleconej naprędce trumny i na małym wózku od jarzyn, we cztery: jej siostra Basia, koleżanki Ela Libiszowska, Władka Szczśniak i ja, pchałyśmy przed sobą ten karawan po wertepach i lejach od bomb przez ulice miasta aż na Cmentarz Wojsko-

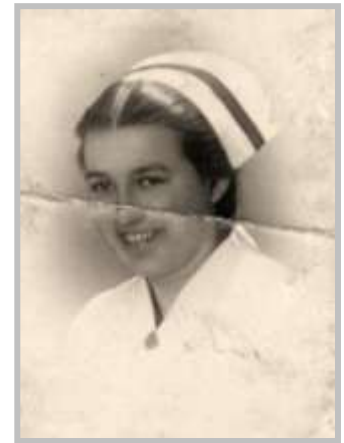


wy. Dziś zapytano by: Dlaczego? Trzeba było widzieć straszliwe zniszczenie, brak środków lokomocji, instytucji, które by mogły tym się zająć, a my pragnęłyśmy, aby była pochowana oddzielnie, nie we wspólnym grobie ciał nierozpoznanych. Ale w miejscu, gdzie spoczęli walczący warszawiacy<sup>36</sup>.



Upał w tym czasie był ogromny. Smród roznosił się i przyprawiał o mdłości i zatrucie. Choć zbiorowe doły-mogły były polewane wapnem dla dezynfekcji, niewiele to pomagało. Szczątki ludzkie były bowiem wszędzie: w ruinach mieszkań, w piwnicach, na skwerkach i ulicach.

Po długiej, męczącej drodze dotarliśmy do cmentarza i złożyłyśmy jej zwłoki do grobu w kwaterze poległych żołnierzy Armii Krajowej. Wandzia przyspieszyła upragniony dzień wolności dla ukochanej ojczyzny, składając w ofierze swoje piękne życie. Szczecin, sierpień 1989 r.”<sup>37</sup>.



### ROZDZIAŁ III:

#### ODWIEDZINY OJCZYZNY MEGO OJCA

---

Pracując w Bibliotece Politechniki Szczecińskiej, miałam już taką pensję, że mogłam z niej odłożyć na projektowany od dawna wyjazd na Węgry. Od Mici otrzymałam samouczek języka węgierskiego – autorstwa E. Mroczo; przerobiłam z niego 25 lekcji i mogłam już trochę porozumieć się w tym języku. W lecie 1964 r. z grupą autokarową Orbisu mogłam wreszcie pojechać do ojczyzny mego Ojca. Droga była piękna: wiodła przez Tatry, Nitrę do Komarom, a następnie dalej obok Budapesztu do Keszthely nad Balatonem. Byliśmy tu przez 10 dni i zwiedzaliśmy okolicę, m.in. zamki, miejscowości (np. uzdrowisko w Heviz), położone bardzo malowniczo nad Balatonem. Pogoda dopisywała wspaniale i czas szybko mijał na dobrym wypoczynku. Podziwiałam bujną przyrodę, która była przepiękna, między innymi dzięki pracy ogrodników i rolników.

Na zakończenie pobytu była wykwintna kolacja w eleganckiej restauracji „Czarda”. Podawane potrawy były typowo węgierskie, zaczynając od zupy rybnej, bardzo ostro przyprawionej pieprzem i ostrą papryką. Była tak niesamowicie pikantna, że wszyscy uczestnicy, mimo popijania jej różnymi płynami – dusili się od kaszlu! Dla mnie było to wspomnienie domu rodzinnego, w którym takie potrawy były przyrządzane; byłam więc bardzo wzruszona i łzy kręciły mi się w oczach, ale nie kasłałam! Zauważył to jeden skrzypek z orkiestry, zbliżył się do mnie i grał piękne melodie, które słyszałam grane przez

---

<sup>36</sup> Później przeniesiono ją do grobu rodzinnego na stare Powązki.

<sup>37</sup> T. Sułowska – Bojarska, Twierdza..., s. 252-253



mego Ojca. Wtedy już wzruszenie było ogromne i polały się obficie łzy. Mogłam płakać swobodnie, bo wszyscy płakali nad zupą rybną, więc myśleli, że ja również. A ja czułam przy sobie obecność mego kochanego Taty...

Późnym wieczorem, w dobrym nastroju, rozśpiewani wróciliśmy pieszo do hotelu. Nazajutrz wyjazd do Budapesztu. Będąc jeszcze w Keszthey, napisałam do kuzynki w Budapeszcie, prosząc, aby mnie tutaj odwiedziła. Ona mi odpisała, że Keszthey i Balaton to bardzo daleko i że czeka na mnie w Budapeszcie. Cały kraj jest stosunkowo bardzo niewielki, ale dla niej to było zbyt daleko, mimo że było to nasze pierwsze spotkanie w życiu. Ja natomiast przejechałam tysiące kilometrów, a dla niej sto parę kilometrów było bardzo daleko. W Budapeszcie zatrzymaliśmy się w hotelu w centrum, skąd wszędzie było blisko, łatwe więc było zwiedzanie najciekawszych zabytków wokół placu Tysiąclecia. Z góry Świętego Gellerta podziwialiśmy panoramę stolicy i parlament. Miałam ze sobą pożyczony aparat (Smienę) i po raz pierwszy w życiu robiłam zdjęcia. Jak się później okazało, już w Szczecinie, wyszły całkiem dobrze. Stolica jest piękna i ciężko mi było się z nią rozstawać. Dźwięk węgierskiej mowy tak bardzo jest bliski memu sercu. Rozumiałam z niej bardzo dużo, trudniej mi było rozmawiać po węgiersku.

Kiedy spotkałam się z kuzynką Elżbietą, przełamałam nieśmiałość i całkiem dobrze nam się rozmawiało. Pokazała mi rodzinne zdjęcia... Między innymi zauważyłam tam fotografię mego Ojca (z sierpnia roku 1938), przed tą samą restauracją „Czarda”, w której teraz i ja mogłam być, tyle że w roku 1964. Moje odczucia w tej restauracji nie myliły mnie. Tam mój Ojciec był rzeczywiście...

Pobyt w tak pięknym mieście był zdecydowanie za krótki! Przed wyjazdem pośpiesznie robiliśmy zakupy za ostatnie forinty. Na pamiątkę tego pierwszego spotkania z ojczyzną mego Ojca kupiłam sobie złoty pierścionek.

Z kuzynką Elą uzgodniłam, że na przyszły rok przyjadę, ale indywidualnie, i pobędę dłużej, mieszkając u rodziny.

### *Odkrywanie rodzinnych korzeni*

Tym razem pojechałam indywidualnie pociągiem ze Szczecina do Katowic, a następnie stamtąd do Budapesztu. W Katowicach miałam bardzo ścisłą kontrolę; porównywano mój dowód osobisty i fotografię z wykazem międzynarodowych przemytniczek. W Budapeszcie z kolei, kiedy wysiadałam z pociągu, podeszła do mnie para Węgrów z bukietem kwiatów, biorąc mnie za ważną osobistość, której oczekiwali z Polski. Kiedy wyjaśniłam, że to pomyłka, byli bardzo zawiedzeni. Niedługo potem zjawił się mój kuzyn i zawiózł mnie do dzielnicy Obuda, gdzie mieszkali. Był to mały domek w ogrodzie pełnym kwiatów i starych, wysokich drzew. Przywitała mnie starsza pani, która się okazała moją stryjenką. Czułam się tam dobrze, ale nie chcąc sprawiać kłopotu swoją osobą, większość czasu spędzałam w mieście, zwiedzając kościoły, muzea, wystawy. Stołowałam się w restauracjach; aby uniknąć zbyt ostrych dań, zamawiałam stałe menu, którym była zupa pomidorowa z ryżem oraz naleśniki z serem (paradicsom leves rizssel es turos palacsinta), i do śmierci tego nie zapomnę!

Z kuzynką spotykałam się rzadko, tylko wtedy kiedy była wolna od pracy. Była sekretarką w zespole adwokackim. Najchętniej prowadziła mnie do eleganckich restauracji, sądząc, że ja tego oczekuję i że właśnie tym sprawi mi przyjemność. A ja wolałam spokojne spacerowanie po mieście i złaźniona byłam historii mojej rodziny. Tak bardzo różniły się nasze zainteresowania...

Któregoś dnia wybrałam się do Instytutu Kultury Polskiej z prośbą o oprowadzenie mnie po stolicy przez osobę znającą język polski. Bardzo chętnie zgłosiła się młoda osoba, która już była w Polsce i pragnęła pogłębiać znajomość języka polskiego. Bardzo miło spędzałyśmy czas, wędrując po mieście; opowiadała mi bardzo ciekawe historie o zabytkach stolicy. Kiedy nie mogłyśmy się porozumieć, to ratowałyśmy się łaciną. To było to, czego oczekiwałam od mojej kuzynki, ale ona zupełnie na co innego zwracała uwagę; z nią zwiedziłabym z całą pewnością przede wszystkim wykwiłntne lokale w Budapeszcie.

Tego lata, to jest w 1965 r. Węgry zostały nawiedzone przez powódź. W klimacie tak gorącym i wilgotnym, z wysokiej temperatury i ulewnych deszczy, odezwały się moje dawne dolegliwości z wysoką gorączką. Nie mogłam więc kontynuować mojego pobytu na Węgrzech, choć proponowano mi nawet leczenie szpitalne. Podziękowałam jednak za tę wielką życzliwość i po obejrzeniu wiadomości z panującej tam powodzi, postanowiłam wrócić do Polski.

Podziwiałam bardzo spokój i opanowanie Węgrów. Mimo tragicznej sytuacji (poziom Dunaju podniósł się aż o 9 metrów) nie dało się zauważyć żadnej paniki; było natomiast rozważne przygotowywanie się na ewentualną jeszcze gorszą sytuację. Pożegnawszy się z rodziną, odjechałam z Budapesztu.

W pociągu miałam znów przeprawę z celnikami, którzy twierdzili, że przedłużyłam nieprawnie pobyt o jeden dzień i dlatego mają prawo odebrać mi paszport. Tą sytuacją zainteresował się jeden z podróżnych (Węgier) i obronił mnie przed nadgorliwością celnika służbisty. Uznano mnie za chorą i oddano do mojej dyspozycji cały przedział, wieszając kartkę na drzwiach, że jestem chora. Węgrzy ze współczuciem omijali mój przedział. Natomiast kiedy już dojechałam do Katowic, wszystko się zmieniło. Na stacji był wielki tłum podróżujących. Natychmiast z hałasem wtargnięto do mego przedziału, zrywając kartkę z okrzykiem:

- Chora?! To do szpitala z nią! Przez okno ją!

Od razu poczułam, że jestem już w Polsce... Sprawę szczęśliwie załagodzone i ruszyliśmy do Szczecina. Byłam bardzo szczęśliwa, że jestem już w Polsce, nawet choćby mi przyszło wysiadać przez okno! Czułam się bezpieczna pod płaszczem Matki Bożej, którym Ona okrywa całą Polskę. W domu, po długim leczeniu (zapalenie stawów z komplikacjami), zrezygnowałam z dalszych wyjazdów na Węgry. Jeszcze przez rok korespondowałam z rodziną, a potem kontakt się rozluźniał, aż do całkowitego zerwania. Kuzyni planowali przeprowadzić się do Holandii na stałe.

Na tyle opanowałam język węgierski, że na prośbę pani dyrektor Biblioteki Politechniki Szczecińskiej podjęłam się przetłumaczenia instrukcji (której autorem jest Gara Andor) o zorganizowaniu pracowni fotograficznej. Z powodu przewlekłej choroby oczu musiałam zrezygnować z wielu zajęć i kontynuowania nauki tego języka, abym mogła dotrzeć do emerytury, pracując w Bibliotece Politechniki Szczecińskiej.

Jak już wspomniałam, mój ojciec przyrzekł Matce Bożej wybudować kapliczkę. Gdyby tego nie mógł zrobić, zobowiązał do realizacji obietnicy swoje córki.

Po wojnie pojechałam do Częstochowy, gdzie rozpoczęłam studia w Instytucie Katolickim. Później przeniosłam się na Ziemię Zachodnie, do Szczecina. Przez kilkanaście lat pracowałam jako katechetka. Z powodu choroby musiałam jednak zmienić zawód. Po latach pracy na Politechnice Szczecińskiej na stanowisku bibliotekarza przeszłam na emeryturę. Przez te wszystkie lata nie zapominałam o zobowiązaniu, którego niestety nie mogłam wypełnić. Modliłam się do Matki Bożej o pomoc; o to, bym nie musiała odchodzić z tego świata, nie uregulowawszy wcześniej tej sprawy. Aż wreszcie Matka Najświętsza przyszła mi z pomocą.

W 1981 r. ks. proboszcz Jan Cichy zaproponował mi pracę katechetki w swojej parafii w Kołbaskowie. Parafia była bardzo rozległa. Katechizowałam w Przeclawiu, miejscowości odległej o 5 km od kościoła parafialnego, do którego w niedzielę dojeżdżaliśmy autobusem, ale wracać trzeba było pieszo. Jesienią i zimą było to bardzo męczące. Dlatego podjęto starania o budowę kaplicy w Przeclawiu – w tej intencji 90 rodzin odmawiało nieustannie różaniec. Ogromnie ucieszyłam się z tej inicjatywy, która stworzyła mi możliwość realizacji przejętego po ojcu przyrzeczenia. Zobowiązałam się wobec ks. Cichego, że będę pomagać przy budowie w miarę moich możliwości.

25 lipca 1983 r. Matka Najświętsza w swej peregrynacji obrazu częstochowskiego nawiedziła naszą parafię, która bardzo starannie przygotowała się do nawiedzin i głęboko je przeżyła. Uznając wielką gorliwość i talent organizacyjny naszego proboszcza, ks. bp K. Majdański zaproponował mu budowę sanktuarium maryjnego na powstającym w tym czasie osiedlu Słonecznym w Szczecinie. Miało to być wotum wdzięczności za ocalenie Ojca Świętego po zamachu 13 maja 1981 r., a także za objawienia Matki Bożej na całym świecie. Propozycję budowy wysunął sam Ojciec Święty. Ogrom zadania niech zobrazuje fakt, że spośród kilkunastu kapłanów, którym zaproponowano prowadzenie budowy, tylko ks. Cichy podjął się tego trudu, zawierając bezgranicznie miłosierdziu Bożemu. W lutym 1984 r. ks. Cichy przeniósł się na osiedle Słoneczne. Zamieszkał w pokoju sublokatorskim. Zaczynał naprawdę od niczego. Ja w tym czasie ponownie zachorowałam. Musiałam całkowicie wycofać się z katechizacji i kontakt z Przeclawiem został przerwany. Kaplicę budował już inny ksiądz, a ja znowu z ciężkim sercem myślałam o niewypełnionym obowiązku.



W marcu ks. Cichy powiedział mi, że wciąż liczy na moją pomoc, którą obiecałam jeszcze w Przecławiu. Zaskoczyły mnie te słowa. Wiedziałam przecież, że nie mam żadnych możliwości pomocy, bo byłam chora. Pomyślałam jednak, że Pan Bóg otwiera nieograniczone możliwości tym, którzy Mu ufają. Z gorącą modlitwą zwróciłam się do Matki Najświętszej o pomoc. Otworzyłam modlitewnik i wzrok mój padł na słowa: „Emmanuel z nami”. Mój ojciec miał na imię Emanuel... Uznałam to za znak, dany mi przez Opatrzność, bym dalej wypełniała przyrzeczenie ojca – w nowych warunkach.



Krótkie wezwanie do Matki: „Pomóż, Matko Boża, swemu dziecku!” – i oto błyskawicznie przyszło mi na myśl, że mam tylu znajomych. Postanowiłam, że będę jeździć po Polsce z prośbą o modlitwę i ofiary na ten cel. Przypomniał mi się też adres pewnego kapłana w RFN, który pomagał w szerzeniu kultu maryjnego. Przez pół roku wędrowałam po Polsce, spotykając się z wielkim zainteresowaniem i ofiarnością. Nadeszła odpowiedź od księdza z RFN, wkrótce przyjechał też na osiedle Słoneczne. Dzięki jego ofierze pokryliśmy dachem kaplicę Świętego Kazimierza – pierwszy budynek zespołu sakralnego. Pierwsza Msza święta w kaplicy pod dachem została odprawiona wieczorem 10 listopada 1984 r., dokładnie w rocznicę ślubu moich rodziców. Cieszyłam się, że dzieło budowy wiąże się ze spełnieniem rodzinnych zobowiązań. Cieszyła się cała parafia, chociaż dobrze rozumieliśmy, że to dopiero początek.

Podczas jednej z moich pierwszych podróży spotkałam w Gietrzwałdzie znajomego, Anatola Kaszczuka. Ten gorliwy czciciel Maryi natychmiast zrozumiał wielkość sprawy. Ks. Cichy poprosił go o zdobycie dla sanktuarium dużej figury Matki Bożej Niepokalanej Serca – Pani Fatimskiej. Pan Kaszczuk udał się w tej sprawie do Francji. Duża figura wraz z pozłacaną koroną została ofiarowana przez „Błękitną Armieję” (świeckie stowarzyszenie czcicieli Maryi) z Francji i Stanów Zjednoczonych. Wracając do Polski przez Rzym, pan Anatol uzyskał (kolejne opatrnościowe zrządzenie Boże!) audiencję u Ojca Świętego, który dowiedziawszy się o przeznaczeniu figury dla Szczecina jako wotum za jego ocalenie i za objawienia Maryi na świecie, poświęcił ją wraz z koroną. Było to znów wieczorem 10 listopada 1985 r. Uroczyste wprowadzenie do kaplicy Świętego Kazimierza, patrona granic Polski na wschodzie i zachodzie, odbyło się 1 stycznia 1986 r. Rozpoczęły się czuwania, zaczęły przybywać pielgrzymki. Otrzymaliśmy pierwsze łaski od naszej Matki, a potem następne i następne. W podziękę składamy nieustającą modlitwę różańcową.

Jesienią 1986 r. położono fundamenty pod budowę kaplicy Matki Bożej Fatimskiej. Zakończyłam swoje podróże. Znowu wiele chorowałam, ofiarując całe cierpienie w intencji budowy. Prowadziłam bardzo skromny tryb życia. Wszystko ciułałam do „mojej skarbonki”, którą była kaplica dla Matki Bożej. Myślę, że moja postawa była Jej miła, ponieważ zostałam obdarowana obowiązkami wyjątkowymi jak na wiek



emerycki. Gościłam np. w mojej kawalerce przez trzy miesiące matkę z niemowlęciem. Widziałam i podziwiałam to, jak przedziwnie Pan Bóg splata moje losy z tym sanktuarium, pozwalając wypełnić największe zadanie mego życia. Pragnęliśmy ukończyć prace przy kaplicy przed 15 sierpnia, przed uroczystością Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, kiedy to figura miała być uroczyście wprowadzona do sanktuarium. W ostatnich tygodniach pracowano w dzień i w nocy. Szatan szalał, aby opóźnić budowę. A przecież cała diecezja oraz goście z kraju i z zagranicy byli już zaproszeni na tę uroczystość. Matka Boża nie zawiodła. 14 sierpnia, w przeddzień otwarcia, kaplica została poświęcona.

15 sierpnia 1988 r. w triumfalnej eskorcie wiwatujących szczecinian figura została przewieziona z katedry szczecińskiej na osiedle Słoneczne. Podczas Mszy świętej na wezwanie ks. proboszcza Jana Cichego (równocześnie pierwszego kustosa sanktuarium) błagaliśmy: „Matko Boża, królujesz od wieków na Jasnej Górze, króluj i tutaj!” Ja zaś poczułam, że ciężar zobowiązania wobec Matki Bożej stał się jakby lżejszy.

11 kwietnia 1989 r. wyjechałam ze Szczecina, by wziąć udział w uroczystościach związanych z przywiezieniem do kraju prochów oficerów pomordowanych w Katyniu. Ledwie jednak przybyłam do Warszawy, dostałam bardzo silnego bólu przewodu pokarmowego. Pogotowie przewiozło mnie do szpitala. Przez jakiś czas nie mogłam realizować swoich planów. Wydawało mi się nawet, że wszystko na nic, a tymczasem beze mnie sprawy toczyły się nadzwyczaj pomyślnie. Ks. Zdzisław Król, kanclerz Kurii Metropolitalnej w Warszawie, dowiedziawszy się przypadkowo o losach mojej rodziny, wzruszył się bardzo i obiecał dać mi część prochów z Katynia – w nagrodę za spełnienie przyrzeczenia Ojca i po to, by darem dla sanktuarium w Szczecinie związać Ziemię Zachodnie z dziedzictwem Wschodu. To wydarzenie uznałam za przedziwne działanie Opatrzności Bożej. Ojciec „powrócił” do Ojczyzny i spoczął w miejscu uprzywilejowanym. 28 IV 1989 r. z największym pietyzmem przekazałam prochy z Katynia ks. Cichemu. Wydaje mi się, że Matka Boża z miłością przyjęła spełnienie największego pragnienia mego Ojca. Otarła sierocą łzę. Obecnie rozpoczyna się następna budowa: obok obu kaplic ma stanąć największa budowla – kościół. Oby we wszystkim Bóg był uwielbiony.

Obecnie mieszkam w Warszawie, w Domu św. Franciszka w „Królikarni”, który prowadzi Siostry Franciszki od Cierpiących.

Warszawa dn. 11.08.2002 r.



*zdjęcia kaplicy  
w Domu św. Franciszka  
i sam Dom*



## CZĘŚĆ IV: KONSEKRACJA DZIEWIC



31 października 2002 r. w katedrze warszawskiej, w kaplicy Baryczków, przez ręce ks. bp. Piotra Jareckiego, dzięki Bożej dobroci, przyjął dar konsekracji dziewic. Pan Jezus spełnił moje najskrytsze marzenie, bym była cała dla Niego.

Przez wszystkie lata mego życia opiekował się mną, a ja starałam się być Mu posłuszną. Przez obrzęd konsekracji zostałam poślubiona Jezusowi na wieczność i całą wieczność będę Mu za to dziękować. Amen!



Kaplica Baryczków  
w Katedrze świętego Jana  
w Warszawie  
31 października 2002 r.



### *Pogrzeb Ilony Korompay – wybitnej katechетки i opiekunki potrzebujących*

**W Warszawie pochowano 9 września 2010 r. Ilonę Korompay – wybitną katecheticę, opiekunkę potrzebujących i osobę zasłużoną dla powstania sanktuarium fatimskiego na osiedlu Słonecznym w Szczecinie. Zmarła 4 września w wieku 92 lat.**

W zastępstwie metropolity szczecińskiego abp. Andrzeja Dziegi Mszy świętej pogrzebowej w kaplicy Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny w domu Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek od Cierpiących w Warszawie przewodniczył ks. kanonik Jan Kazieczko.

Kazanie wygłosił franciszkanin o. Paweł Cebula OFMConv. który przypomniał sylwetkę Zmarłej i odczytał napisane przez nią osobiste świadectwo życia. Kaznodzieja, nawiązując do węgierskiego imienia Ilona, po polsku Helena,

wskazał na związany z jej patronką krzyż, który „niosła przez całe życie”. „Nie narzekała, niosła krzyż cierpienia z radością, w duchu służby potrzebującym. Mimo samotnie spędzonych lat nigdy się nie załamała i z całym oddaniem poświęciła swoje życie Bogu i ludziom” – zaznaczył o. Cebula.

W pogrzebie wziął udział pierwszy niekomunistyczny ambasador Republiki Węgierskiej w Polsce po 1989 r. – Akos Engelmeier. „Życie Ilony i losy jej rodziny są dramatycznym i pięknym symbolem przyjaźni polsko-węgierskiej” – powiedział, żegnając Zmarłą.

Ponadto przybyła liczna delegacja sióstr z gimnazjum i liceum Sióstr Nazaretanek w Warszawie, z którymi od młodości Ilona Korompay była związana.

Ostatnie lata życia spędziła w Domu Opieki w Warszawie prowadzonym przez Siostry Franciszkanek od Cierpiących.

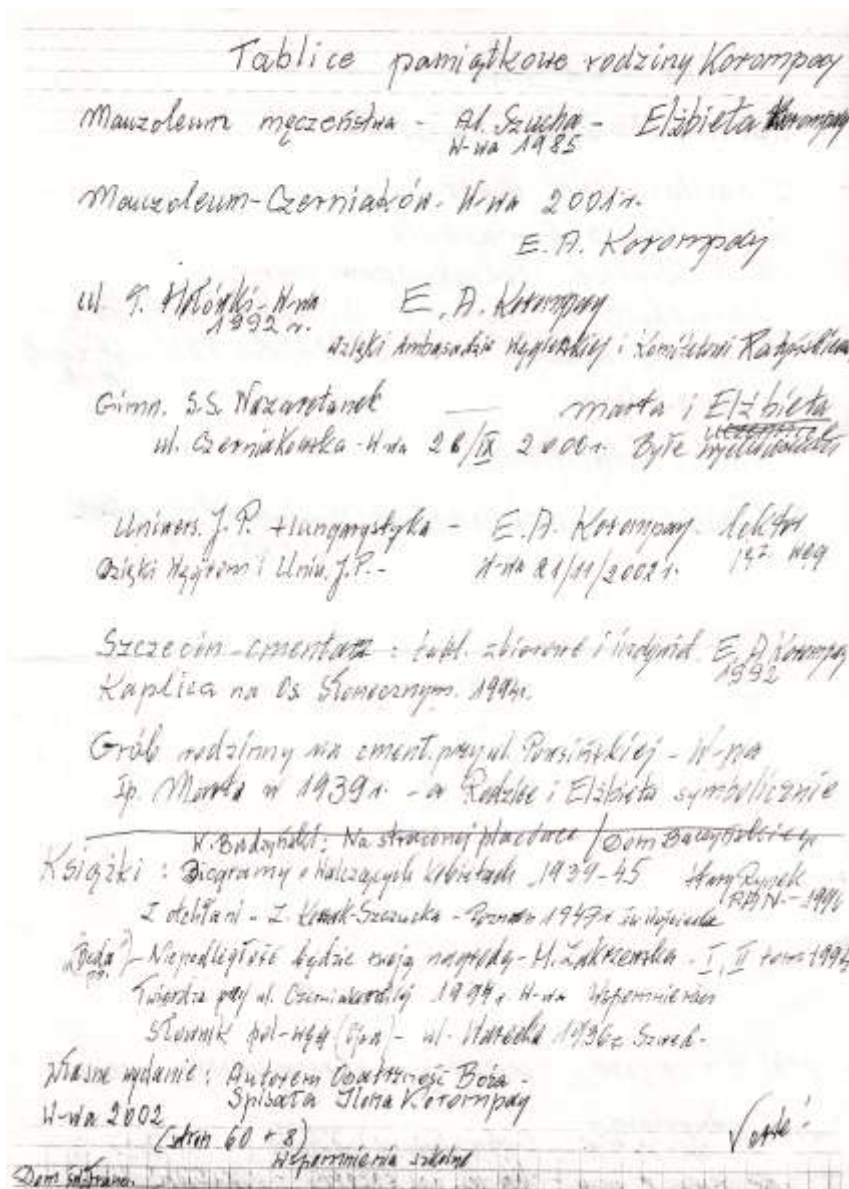
Spoczęła w grobie rodzinnym na cmentarzu Czerniakowskim w Warszawie.

W Sanktuarium Matki Bożej Pani Fatimskiej w Szczecinie w najbliższym czasie zostanie wmurowana tablica ku czci Ilony Korompay.

Fragment artykułu KAI,  
10.09.2010



Tablice upamiętniające rodzinę Korompayów z notatek Ilonki.



\*\*\*

Bibliografia

Budzyński Wiesław, Dom Baczyńskiego, Warszawa PAX 2000, str. 66-91  
 Budzyński Wiesław, Na straconej placówce, Warszawa 1991, str. 97-108  
 Korompay Aladar, Słownik polsko-węgierski, Warszawa 1936  
 Kossak-Szczucka Zofia, Z otchłani, Warszawa 2004, 211-212  
 Sułowska-Bojarska Teresa, Twierdza przy Czerniakowskiej, Warszawa 1994, 252-253  
 Tatarkiewicz Władysław, Przegląd Filozoficzny Rocznik XLII, Warszawa-Kraków 1946 r.,  
 Wspomnienia o filozofach zmarłych 1939-1945, s. 52

Wspomnienia o losach rodziny Korompayów opisane są też w książce:  
 Halina Zakrzewska, Niepodległość będzie twoją nagrodą, Warszawa 1994.